Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

# Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 10 listopada 1935 r. Nr. 45.



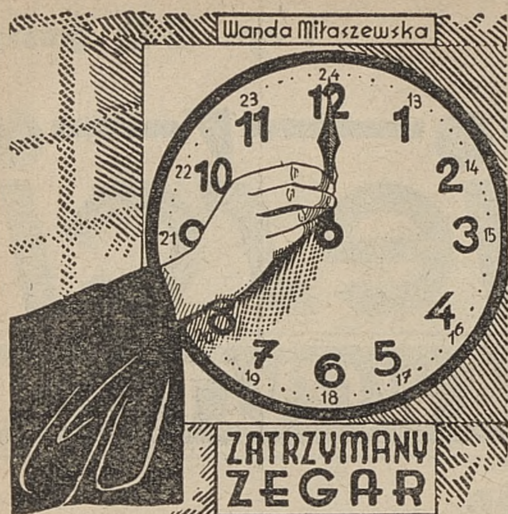
## P-R-Ó-Ż-N-O...

Morze szumi, szumi i żałośnie płacze =
I fala za falą
Próżno o skalisty, twardy brzeg kołacze...

Myśli me mkną w dale — —
Ktoś tam tęskni ze mną, w ukryciu rozpacza,
I łzy oczy palą...

Tu morze wciąż szumi i żałośnie płacze —
I fala za falą
Próżno o skalisty, twardy brzeg kołacze...

DANUTA WYRYBKOWSKA.




POWIEŚĆ 6)

— Żebyś ty raz pozbyła się tej egzaltacji! — zabrzmiał donośny głos „ciotki rodu“, przy akompanjamencie stukania laską, jak zawsze w chwilach, gdy zrzędna ta osoba czuła się podniecona. — Przynajmniej teraz, kiedy wiesz sama, że to już nie przelewki, mogłabyś zdobyć się na odrobinę zdrowego rozsądku!

Odpowiedź matki stłumiły drzwi zamknięte. Wydało mi się jednak, że głos brzmi niemal błagalnie.

— Uf! — sapała znowu ciotka Klimontowska. — Jak ja nie lubię takich scen! Poco te wszystkie słowa? Przecież jej na bruk nie wyrzucę, ani z niej pomywaczki zrobić nie myślę. Z głodu tutaj nie umrze, nie bój się. Cóż to, zła taka jestem, krzywdy w moim domu kiedy zaznałaś, że ciągle z tem sercem wyjeżdżasz? Cóż to, może ja serca nie mam? Dzieci własnych nie dochowałam się, a przecież muszę o kimś myśleć. Taka już głupia natura ludzka... Pewnie, że na kolanach dzieciaków sadzać nie lubię, ani się z niemi tak cackać, jak wy tam wszystkie... Śliczne wychowanie! Dobrze chociaż, że ja widzieć nie będę, jakie mazgaje powyrastają z tych waszych gagatków...

Znowu przerwa, znów ciche słowa mamy podobne do brzęczenia komara gdzieś bardzo daleko.

— No, no, — pomrukiwała po chwili stara jejmość cieplejszym tonem. — Już ty lepiej o siebie dbaj, zamiast mnie uczyć. Jak ty się zachowujesz? Czy ci do grobu tak śpieszno? Mówiłam: jedz rosół z drobiu, łykaj surowe żółtka, pij te mikstury, które ci doktór przepisał... Zawsze taki cymbał musi coś wiedzieć, za to pieniądze bierze... Czy ja ci kiedy czego pożałowałam? Myślisz, że mię zachwyca twój opłakany stan zdrowia! Wyglądasz, jak zmora... Tfu, doprawdy! Dwadzieścia dziewięć lat!... Jak twoja córka sierotą zostanie, kto temu będzie winien, może ja?

Laska stuknęła trzy razy, w takt słów.

— Nie płaczże! Nie pora na desperacje. Połóż się lepiej do łóżka i nie udawaj, że możesz szyć te łachmanki, kiedy nie możesz. Poco ty sama siebie traktujesz, jak pannę służącą? Czy kto wymaga od ciebie, żebyś ślepiła nad tą bielizną, zgięta w kłąbek, jak półtora nieszczęścia! Weźmij się ostro do leczenia, może się jeszcze wykaraskasz. Dotrzymaj choćby do mrozów. Potem — zobaczymy. Chyba cię do jakiego Meranu wyślę, czy co? Obie z Emilką nadajecie się do sanatorjum... Ot, czasy takie, wychowanie!... Te wszystkie wasze mądre teorje w życiu... Masz teraz!

Kroki skierowały się ku drzwiom. Uciekłam pędem, nie oglądając się za siebie. Serce moje przeniknął nawskroś lęk. Sama już nie wiem, czego się bardziej bałam: głosu ciotki Eufemji, czy tej straszliwej wizji nieszczęścia, wiszącej nisko nad moją głową, jak czarna płachta, gotowa każdej chwili spaść i zmieść mi z przed oczu słoneczne światło dnia...

XV.

Ostatni tydzień października przyniósł tę tylko zmianę, że matka usłuchała wreszcie namowy i położyła się do łóżka.

— To już chyba i koniec ze mną... — rzekła smutno do Emilki, która jej układała poduszki pod głowę i plecy.

Były to ostatnie słowa zwątpienia, ostatnia skarga, jaką słyszeliśmy z jej ust. Leżała odtąd cicha, zrezygnowana, z rękami, zaplecionemi na kołdrze. O ile przebywałam zbyt długo w pokoju, usiłowała nakłonić mię do ruchu:

— Nie siedź tu, Krysiu... Trzeba korzystać ze słońca, póki czas. Pogoda przecież ładna, prawda?

— Ładna, mamusiu.

— No widzisz. Idź... Idź do ogrodu... Zobacz, czy liście już wszystkie poopadały... Opowiesz mi potem, jak tam wygląda... Albo mi listek przyniesiesz... Żółciutki listek klonu... Dobrze?

— Dobrze, mamusiu! — mówiłam i wysuwałam się posłusznie z pokoju. Wybierałam potem wśród trawy największe, najpiękniejsze liście klonowe i układałam je w krwawo-złote wiązanki. Znosiłam całe ich pęki i rozsypywałam na łóżku matki. Zsuwały się po kołdrze z cichym chrzęstem i spadały na ziemię, czerwone, żółto-brunatne, płowe...

— A teraz idź do roboty do cioci Femci. Trzeba się trochę przymusić, córeczko... A teraz pobaw się z Adasiem. A teraz... — dawała mi coraz nowe polecenia.

Spełniałam je chętnie. W domu szło wszystko zwykłym trybem. Snując się jak cień, śladem Balbiny, pomiędzy kredensem i garderobą, słuchając gderań ciotki Eufemji, goniąc się po ścieżkach z Adasiem, zapominałam często, że mama taka chora, że leży sama w swoim pokoju. Mijała jedna godzina, dwie... Ani się opatrzyłam, jak zmierzch nadchodził, jak zapalano światła, jak podawano wieczerzę... Wstawałam nazajutrz zdrowa i uśmiechnięta, biegłam do mamy, a ona witała mię także z uśmiechem na białej twarzy.

W dzień Wszystkich Świętych domownicy udali się gromadnie do kościoła. Nawet ciotka Eufemja pojechała z wiankiem, tak, jak czyniła rok rocznie od śmierci męża. Zostałam w domu sama z mamą.

— Popraw mi trochę poduszki, kochanie... O, tak. A teraz zmówimy pacierz za tatusia... — ozwała się do mnie.

Mówiłam na głos Anioł Pański, a mama skrzyżowała ręce na piersiach i przymknąwszy powieki, poruszała lekko wargami.

Po południu kazała przywołać Emilkę:

— Lepiej mi dzisiaj — rzekła — może naprawdę niedługo wstanę? Kto wie...

Nazajutrz od rana zrobiło się istne piekło w domu. Acan gdzieś przepadł i szukano go wszędzie i napróżno. Ciotka Eufemja stukała laską, krzyczała na służbę, wyrzekała na nieporządek w domu i łajała każdego, kto nie zdołał w porę zejść jej z oczu.

— Gdzie się też psisko zadziało? Do wody nie wpadł przecie, ani go szczury zagryzły, a na taką ruderę niktby się nie złakomił! — wydziwiała Balbina, drepcąc tam i sam po wszystkich pokojach i zaglądając w każdy kącik.

Podczas obiadu nastrój był mocno ponury. Wszyscy siedzieli w milczeniu, wlepiając wzrok w talerze, oczekując jakiegoś wybuchu. Stara dama, wbrew zwyczajowi, milczała również uparcie i tylko od czasu do czasu rzucała niechętne spojrzenia to na Emilkę, to na ciocię Józię, to wreszcie na jedno z nas, dzieci.

Janusz, który się spóźnił jak zwykle i szybko połykał przestygłą zupę, ozwał się nagle, między jedną a drugą łyżką, niesioną do ust.

— Chyba w konkury gdzie pobiegł! Ha, ha, ha! Co cioteczka na to? Przypomniał wół...

Niefortunny koncept utknął mu w gardle. Ciotka Eufemja zmierzyła Janusza groźnem spojrzeniem:

— Głupie i niesmaczne żarty trzymają się dziś waćpana — rzekła cierpko. — Mój pies tem się różnił od pewnych młodych ludzi, których znam, że nigdy na folwarku przygód nie szukał...

Emilka upuściła widelec i schyliła się, aby go podnieść. Zapanowało przydługie milczenie.

— A co? — podjęła po chwili nieubłagana ciotka — prawda w oczy zakłóła i zadrasnęła delikatne serduszko? Nie wiem, jak tam teraz, bo się nie wtrącam, ale był z twego męża miły gagatek! Pilnuj go lepiej, a na mnie oczu nie wybałuszaj, bo wiem, co mówię!

— Taż, Femciu... — jęknęła pani Rymszyna. — Taż co na ciebie przystąpiło?

— Przystąpiło, że mam was wszystkich po dziurki w nosie, ot! A jak się Acan do wieczora nie znajdzie, to służbę porozpędzam, nowe tu porządki zaprowadzę! Wam się aż oczy śmieją, że pies przepadł... Chętniebyście go w łyżce wody utopili, bo wiecie dobrze, czem on jest dla mnie! A ja wam otwarcie powiadam, że gdybym mogła jemu cały majątek zapisać, to tylebyście po mnie schedy powąchali!

Emilka zerwała się z miejsca i wyszła, trochę za głośno zamykając za sobą drzwi. Za nią oddalił się Janusz z powagą złożywszy serwetkę i mocno ironiczny ukłon całemu towarzystwu. Bal-



*W dalekich, bezwodnych pustyniach Ogadenu samochód czy czołg stają się niepożytecznym sprzętem, który w walce z największym wrogiem wszelkich pojazdów motorowych — piaskiem, musi po krótkim czasie ulec. Dlatego też do dziś dnia i zapewnie długo jeszcze najpewniejszym „okrętem pustyni“ — będzie wielbłąd, którym też armja włoska posługuje się na dużą skalę. Oto malowniczy obrazek pustynny: karawana w marszu przez pustynię.*

bina westchnęła i przeżegnała się ukradkiem, a my siedzieliśmy jak trusie, nie śmiejąc prawie oddychać, aby nie zwrócić na siebie uwagi.

— Poco ty, Femciu, wszystkim przykrości mówisz? — zagaiła po wyjściu Janusza pani Rymszyna głosem miodowym — Emilka niezdrowa teraz... Nerwy u niej kiepskie... Ot i niepolitycznie wyszło. A jak im raz, drugi nadokuczy wezmą i na stałe wyjadą. Sama potem żałować będziesz!

— Niema strachu, wrócą! — burknęła korpulentna dama. — Jak Romaniszki Janusz w karty przepuści, albo i gorzej, wrócą na moje podwórko! Do kochanej cioteczki wrócą, która pieniążki ma i pewnie im cały majątek zapisze!

— Taki ty racji nie masz! — ciągnęła niezbita z tropu, „ciocia Józia“. — Poco te swary w rodzinie, te wymawiania... Acan się przez to nie znajdzie przecież...

Miała specjalny dar doprowadzania swej starej kuzynki do pasji. Już ciotka Eufemja otworzyła usta, by obraźliwą jakąś wyrazić uwagę, gdy do jadalni wpadł, jak bomba, Adaś, wołając, że Acan się znalazł.

Wypatrzył go niedaleko domu pan Dziechciński. Mops nie władał tylnemi łapami i wygląd miał nader opłakany. Ciotka Eufemja rzuciła się ratować ulubieńca, klnąc, na czem świat stoi, całą służbę dworską.

— Krzyż mu zapewno przełamali polanem jakiem! — dowodziła, układając psa na kanapie i probując palcami, czy grzbiet ma cały. Acan pisnął, a następnie zawarczał, ukazując swoje ohydne, żółte ze starości zębiska.

— Cicho, piesku, — ozwała się doń łagodnie — ja cię wyleczę, biedaku...

— Pójdź, Krysieńko, zajrzymy do mamusi... — szepnęła mi na ucho Balbina, korzystając z sytuacji. Wzięła mię za rękę i wyszłyśmy cicho z bawialni, zostawiając starą damę w czułem sam na sam z faworytem.

— Mamusiu! Acan się znalazł! — wykrzyknęłam jednym tchem wielką nowinę.

— A jakże, znalazło się psisko. Ale też było, paniuńciu, co słuchać! O mało mię... Chryste Panie! — krzyknęła nagle i podbiegła do łóżka. Mama leżała w zwykłej pozycji, oparta o stos poduszek, ale miała jakiś dziwny, szary cień na twarzy: usta jej raz po raz otwierały się i zamykały, jakby nie mogła powietrza uchwycić. Powieki półprzymknięte drgały co chwila, ukazując źrenice bez blasku

— Paniuńciu moja... O, Jezu! — jęknęła Balbina, chwytając obie jej ręce, rozrzucone na kołdrze. — Heluśko zło ta... Ooo...

Nagle, obracając się ku mnie, krzyknęła:

— Leć, Krysiu, zawołaj panią Emilkę, panią starszą, wszystkich. Powiedz, że z mamą źle...

Wpadłam jak burza, do pokoju Emilki.

— Z mamą źle... — powtórzyłam słowa Balbiny. Emilka cisnęła w kąt ręcznik, którym właśnie przecierała zaczerwienione od płaczu powieki:

— Co ty pleciesz? — szepnęła — Skąd wiesz?

— Z mamą źle... Balbina przysłała mię tutaj... O, Emilciu, mama usnęła i tak dziwnie chrapie przez sen...

Na progu stanęła Balbina w przekrzywionym fanszoniku i nie patrząc wcale w mą stronę, rzekła do Emilki zduszonym, gardłowym głosem:

— To już trzeba zaraz do proboszcza... Natychmiast!

W całym domu wszczął się zamęt. Biegano tam i zpowrotem, szukano jakichś kluczy, wysyłano konie po doktora z miasteczka, a drugą parę po księdza. Ciotka Eufemja rozstała się nawet z mopsem, spowitym w bandaże i przyszła, gderząc: „Zwarjowałaś, Balbino? Skąd tak nagle...“ Ale spojrzawszy w twarz mojej mamy urwała wpół zdania i siadła ciężko w fotelu:

— No tak — mruknęła — no tak...

Już nie pamiętam, co działo się dalej. Tłukłam się po pokojach, po korytarzach, czepiałam się sukni Emilki, to znowu ciągnęłam za fartuch Balbiny, która gdzieś biegła, z kluczami od apteczki w ręku.

— At, — krzyknęła na mnie zniecierpliwionym głosem — nie widzisz, że czasu nie mam? Płącze się to pod nogami i tylko przeszkadza!...

Stanęłam, jak wryta. Było to na progu ciemnej bawialni. Zdumiona, oszołomiona niesłychanym postępkiem Balbiny, wsunęłam się do tej bawialni i stałam, wsparta plecami o kanapę ciotki Eufemji. Trzęsłam się, jak w febrze. Cały dom rozbrzmiewał odgłosami kroków, stukaniem otwieranych i zamykanych drzwi, lecz bicie mego własnego serca głuszyło wszystko. Nawpół przytomnie nadsłuchiwałam, co to za turkot słychać przed gankiem. Potem dostrzegłam przez szybę sylwetkę starego proboszcza. Niósł w rękach białe zawiniątko i szybko wszedł do przedpokoju.

W domu wszystko ucichło nagle. Mały dzwóneczek dzwonił „dyń, dyń“, mały srebrny dzwoneczek, o którym wiedziałam, że dzwoni wtedy, gdy ksiądz jedzie z Panem Bogiem do umierających....

W bawialni stawało się coraz ciemniej, prawie czarno. Zaczęłam się nagle bać tej ciemności, tej dziwnej ciszy w domu. Runęłam całem ciałem na poduszki w rogu kanapy i wtuliłam w nie głowę, łkając spazmatycznie. Gdy wreszcie przyszłam nieco do siebie, w pobliżu uchylonych drzwi słychać było głośną rozmowę:

— Zawsze to samo! — huczał ksiądz Urbanowicz potężnym swoim głosem. — — Szkoda, że jeszcze później po mnie nie przysłano!

— Nie zawracałby głowy ksiądz dobrodziej! Kto mógł przypuszczać, że właśnie dziś... — odpowiadała gniewnie ciotka Klimontowska.

— E, przypuszczać można było oddawna — wtrącił trzeci, nieznajomy głos. — Przecież ona dawno płuc nie ma. Mówiłem...

— Mówiłeś doktór, że powinna umrzeć rok temu, a ona żyła sobie, na złość pańskiej mądrej nauce. Wyglądała dziś rano tak samo, jak przed miesiącem, jeśli nie lepiej, bo od paru dni była rzeźwiejsza. Wy wszyscy lekarze ogromnie mądrzy jesteście, ale poniewczasie...

— No no, — mitygował proboszcz zirytowaną jejmość — niestosowna chwila na takie porachunki! Bogu pani podziękuj, że zdążyłem jeszcze chorej udzielić Najświętszych Sakramentów, choć lepiej byłoby, powtarzam, lepiej byłoby odbyć spowiedź, jak należy...

Kroki poczęły się oddalać, głosy przycichły. Usłyszałam w przedpokoju charakterystyczny tupot: to ksiądz Urbanowicz wsuwał buty w wysokie kalosze. Zerwałam się z kanapy i wbiegłam pędem do sieni. Ciotka Eufemja zamykała właśnie drzwi za proboszczem. Wsunęła nieodłączną laskę pod pachę

i mocowała się z kluczem, sapiąc przytem, jak lokomotywa.

Skończywszy obróciła się ku mnie i ciężką rękę oparła mi na ramieniu:

— Pójdź pożegnać się z matką — rzekła głosem, jakiego nigdy jeszcze u niej nie słyszałam. — Ostatni czas...

XVI.

W wigilję świętego Marcina spadł pierwszy śnieg. Od wczesnego rana gęste, duże płatki sypały się z ołowianego nieba. Wiatr ustał prawie zupełnie, było cicho, sennie i coraz bardziej biało. Ziemia w skupieniu zdała się witać pierwszych zwiastunów zimy.

Około południa już tylko gdzie niegdzie sterczała grudka zoranej roli; konary drzew drzemały pod śnieżnym płaszczykiem, domy przysiadły, skuliły się pod białą pierzyną dachów, każdy kołek z krzywych opłotków stał dumnie we własnej czapie, nasuniętej głęboko na łeb omszały. Nagle rozdarła się opona chmur: poczęły uciekać, rozpierzchać się bezładnie, jakby w popłochu przed majestatem słońca, które wyjrzało przez pierwsze błękitne okienko, najwidoczniej w celu przekonania się, czy świat już dostatecznie wypiękniał.

Jak tu utrzymać dzieci w ciasnej izbie, kiedy za oknem dzieją się takie cuda! Maleństwa z mojego oddziału tęsknie i z tajoną zazdrością patrzyły na gromadkę swych rówieśników, których cały rój wysypał się przed szkołę i literalnie tarzał się w śniegu. W mgnieniu oka rzewna historja o stopce Królowej Jadwigi straciła cały swój czar. Ach, wybiec, własnemi stopami ugrzęznąć w miękkiej, iskrzącej bieli — odcisnąć własne ślady grubych, podkutych trzewików na śniegu — oto jakie marzenia czytałam wyraźnie we wszystkich oczach rozbieganych i nieuważnych. Nie miałam serca pozbawić dzieci tej radości, jaką daje pierwszy śnieg. Złożyłam książkę, w której zgasł i poczerniał tak nagle barwny konterfekt miłosiernej królowej i powiedziałam dzieciom:

— Dzisiaj skończymy lekcję wcześniej. Możecie iść do domu, tylko nie popychać się, nie bić, nie przeskakiwać ławek! Wychodzić po jednemu, spokojnie!

Ot, próżne słowa! Dzieciarnia już się ciśnie w sieni, chwyta pośpiesznie swoje chustki i kożuszki. Słychać pisk, tupot nóg o podłogę, wykrzykniki uciesze, narzekania, sprzeczki, a nawet płacz. To mała Julka rozdarła swój błękitny, „amerykański" szalik o gwóźdź, a teraz znowu Micik nie może znaleźć czapki, więc krzyczy na odchodzących, by zaczekali chwilę.

— Kab ciabie chalera! — słyszę zza drzwi popularne życzenie. — Pahladzi, durnyj, taż ana u ciabie na hołowie, Micik!

— Praudu każe... — podziwia chłopiec, macając głowę obiema dłońmi.

Gwar powoli ustaje. Ktoś szuka jeszcze swojej „wierouki" (sznurka) którą przyniósł w kieszeni kubraka, ktoś inny narzeka, że mu kurtkę na ziemi butami podeptali... Wreszcie tupot ostatniej pary nóg milknie za progiem. Słychać już tylko zdala wesołe pokrzyki, pogwizdywania, nawoływania, śmiech...

Zebrałam i ja swoje manatki, jak mogłam naprędzej... Ej, Krysiu, przyznaj otwarcie! I ciebie, narówni z dziećmi, wygania z izby ten pierwszy śnieg! Prędzej, prędzej do domu na obiad, a potem hen, gdzie oczy poniosą, w dalekie, białe pola...

Służąca burmistrza, pucułowata, rumiana dziewczyna w wiecznie rozdartym na łokciach kaftaniku, ozwała się, stawiając zupę na stole:

— A to, proszę pani, naniosło od rana! Biało i biało!

A prawda! Biało! Chwała Bogu, biało!... Połknęłam porcję zacierek, parząc język. Kawałek mięsa wydał mi się mniej twardy, niż zwykle. A to wszystko sprawiła radość, owa radość bez sensu, że na świecie mroźno i biało, błękitnie i brylantowo od roziskrzonych promieni słonecznych!...

Wsunąwszy brodę w kołnierz palta, a ręce w kieszenie, ruszyłam zatem „przed siebie"... Nagie konary stuletnich lip klimontowskich odcinały się mocnym rysunkiem od białej płaszczyzny pola i błękitnego tła nieba. Z głównego gościńca wiodła wprost ku nim wydeptana już ścieżynka. Poszłam tamtędy. Miękki śnieg nie skrzypi, ale usuwa się lekko z pod stóp... Pierwsza jego warstwa zaczyna zwolna topnieć...

Dziesięć, dwadzieścia minut — i oto jestem u celu. Skrzypnęły przyjaźnie stare, zmurszałe wrota, zapraszając mię gościnnie do wnętrza parku. Gdzieś, z wysokości, z cienkich gałązek, splątanych w dziwne arabeski, spada co jakiś czas grudka śniegu, rozpyla się w powietrzu, miljonem drobniutkich gwiazdeczek siada mi na ramionach... Idę ostrożnie, by nie otrząsnąć tych diamentowych kryształów. Nadaremnie jednak. Wsiąkają w szorstki materjał wełniany, topnieją z każdą chwilą, nikną...

Przed domem stary Wątek odgarnia śnieg ze schodów. Dostrzegam jego połamaną sylwetkę poprzez batalion chochołów słomianych, otulających krzewy róż. Zbliżam się do starego i zagaduję:

— Cóż, panie? — Pierwszy śnieg mamy?...

— A jest, paniusiu, jest. Chwalić Boga, robotę w ogrodzie pokończyliśmy. O, będzie twarda zima, jak się patrzy!

Przez chwilę przyglądam się w milczeniu grudom śniegu, leżącym z łopaty na dróżkę, przysłuchuję się, jak zgrzyta żelazo o kamienne stopnie, wreszcie zagajam znowu:

— A cóż tu u was słychać? Dawno nie byłam....

— Widzi mi się, co dawno — przytakuje stary kuternoga, rozprostowując grzbiet i skrobiąc się w głowę nad uchem. — Ano, u nas nic... Po staremu, robota. Dziś to, jutro tamto. Żona w mieszkaniu nagwalt szpary zakleja, co przez nie nocą śniegu nawiało. Rudera wszystko, dziurawe to, jak sito. Jeszcze się na łeb człowiekowi kiedy zawali... Może paniusia wstąpi na chwilę do żony? Rada bardzo będzie...

Rzeczywiście, Wątkowa, stojąc na krześle, zaklejała papierem szczeliny w ramie okiennej, utkane poprzednio pakułami. Duży sagan z klajstrem stał obok na stole.

— A, to pani! — uradowała się szczerze i poczęła złazić ze stołka, postękując. — Jużeśmy dawno paniusi nie widzieli. Myślałabym: chora, ale mi Teoś codzień nowiny o pani ze szkoły przynosi. Co to pani tak dawno nie zajrzała?

— Kawałek drogi, moja pani Wątkowa. Przytem — roboty w szkole dużo... Deszcze... Jakoś tak zeszło.

— Bo też i chlapanina była! Nie daj Boże, jakie tu błocko! Zaraz za ogrodem ugrzęznąć można po pas. Teoś, hej, Teoś! — krzyknęła nagle. — On tu gdzieś był niedaleko, tylko teraz pewnikiem na strychu siedzi... Całutki dzień na tym strychu się grzebie, proszę paniusiu. Żeby pozwolić, nocowałby.

— Cóż on tam robi?

— Kto jego wie? Ot, takie różne szpargały przebiera. Nie brak tam tego. Jak tu we dworze wojska kwaterowali, to wzieni, i powyrzucali wszystko, co im się nie spodobało, na ten strych, w jedną kupę. Papierzysków tam leży różnych, książków, natłuczonego szkła, połamanych mebli... Takie, ot, graty. Raz Teoś stamtąd lampę wyciągnął, wcale jeszcze niczego. O, widzi pani, ta, co tu stoi. Knot dokupiłam w miasteczku, szkiełko — i pali się niezgorzej. Brać to ja nic z pokojów nie biorę... Ale ta lampka... Juści, nic nikomu po niej, a nam zawsze trochę poświeci... Teoś! Tee-oś! A chodź-że! Pani przyszła!

— Nie wołajcie. Sama go później poszukam. O co to chciałam jeszcze zapytać? — Aha... A o dziedzicach wiadomości żadnej niema?

— Gdzie zaś niema! Właśnie że jest. Był tu administrator Romaniszek w zeszłym tygodniu. Nakrzyczał, nakołował, nosa wszędzie nawściubiał... Nam to nic, bo to nie jego interes przy domu, a mąż swoje robił i robi. Ale ekumonowi się dostało. To ten administrator miał rzec do kogoś, że się przecie nasze państwo znalazło. Pani dziedziczka ciągiem we Warszawie siedzi, że chora niby. Nieprędko oni tu zjadą... Może i nigdy? Miastowy musi być człowiek, ten pan Rymsza. Hadwokatuje, czy co? Pani tutejsza, to pani chyba lepiej wie... — zerknęła ku mnie.

— Nie, teraz nie wiem. Oddawna nie wiem nic. Wyczytałam tylko w gazecie, że matka pani Rymszyny, pani Emilja Klimontowska, umarła.

— Ano, nie żyje, wiem. W Rosieji umarła. Będzie ze dwa lata, albo i więcej. Że też jej było trzeba jechać do tej bolszewickiej hołoty... Poco?

— Za mężem pojechała.

— A prawda, słyszeliśmy jak ludzie opowiadali. My tu niedawno siedzim w tej okolicy zatraconej. Bo my z Mazurów, mówiłam już pani, prawda? Ech, Boże drogi! Nas także wojna zagnała w świat... Poprzerzucało też ludzisków, poprzerzucało! Z jednego końca ziemi w drugi... Że potem ani trafić do rodzonego kąta! A starszy pan Klimontowski to chyba także w Rosieji pomarł? (C. d. n.)

MARJA REUTT 6)

# Przeznaczenie

VII.

— Mizernie wyglądasz — odezwał się król Ludwik do swego następcy, gdy po powrocie z Włoch zgłosił się do niego.

— Miałem trochę osobistych przykrości — odparł.

— Trochę?...

— Niemało... Całe wiadro goryczy przełknąłem!

— Młody jesteś, musisz się wyszumieć — powiedział sentencjonalnie król. — Czas, żebyś się ożenił. Podczas twej nieobecności układaliśmy z twoją matką listę kandydatek na przyszłą twą żonę.

Wzruszył ramionami.

— Mam jeszcze czas.

— Nie tak wiele masz do tego czasu. Stary już jestem. Od czasu śmierci syna i biednego Emila czuję się bardzo źle, zniedołężniałem. Najlepiej czuję się siedząc samotnie w ciszy gabinetu. Rozmawiam tu bardzo często z tymi, co już odeszli. Nauczyłem się teraz kochać i cenić Aurelję. Zdaję sobie sprawę jasno z tego, ile musiała przeze mnie wycierpieć. Ty jeszcze nie wiesz, co to życie, co to znaczy cierpieć. Ta kobieta była naprawdę męczenniczką.

Zadumał się na chwilę stary król. Siedział w milczeniu w głębokim fotelu i patrzył w zamkowe okno oczyma, co nie widziały tego świata. Widział niemi coś więcej, niż zwyczajni śmiertelnicy. Ktoś poza tem oknem rozwiesił ekran, na którym cała przeszłość władcy malowała się plastycznie i wyraźnie.

— Buntowałem się. Byłem wówczas taki sam, jak ty. Nie chciałem żenić się...

Mówił głosem przytłumionym, rwanym, ale spokojnym. Spowiadał się ze wszystkiego. Ludzie starzy spowiadają się chętnie.

— Nie mogłem się pogodzić z moim losem, nie mogłem zrozumieć, dlaczego właśnie ta, a nie inna kobieta weszła w moje życie. Bunt mój był tak silny, że kiedy urodziła mi syna, porzuciłem ją. Mieszkaliśmy tu, w tym pałacu, siadaliśmy do wspólnego stołu i występowaliśmy razem na wszystkich paradach i uroczystościach, ale byliśmy sobie obcy. Traktowałem ją tak, jak się traktuje może przykry, ale konieczny sprzęt domowy. Kraj musiał mieć władcę, tron następcę. Zrobiła swoje. Urodziła syna, a tego tylko od niej wymagano. Zmieniałem kobiety jak rękawiczki. Tyle ich przeszło przez moje życie. Jedne trwały dłużej przy mnie, inne opuszczały mnie po jednej nocy szału.

Znowu zadumał się stary król.

— Byłem niezłym władcą. Cechowała mnie przedsiębiorczość, rzutkość, byłem człowiekiem sprawiedliwym. U poddanych cieszyłem się miłością, a szacunkiem zagranicą. Byłem sprawiedliwym... Dla niej jednej, dla mojej żony, dla matki mego syna, nie mogłem znaleźć żadnego uczucia w mej duszy. Dla niej byłem niesprawiedliwy.

Biedna Aurelja... usunęła się dobrowolnie w cień, nie narzucała mi się nigdy. Odeszła z tej ziemi kiedyś nagle, zupełnie niespostrzeżenie. Przynajmniej nie męczyła się. Wierzę, że Bóg ulitował się nad nią. I czy ty uwierzysz, że nie żałowałem jej, czułem nawet w duszy jakąś radość, byłem zadowolony. Powiem ci więcej — byłem podłym! W tę noc, kiedy rozstała się ze światem, zamknięta w czterech ścianach swego pokoju, przypominającego celę mniszki, ja brałem w objęcia którąś ze sławnych podówczas aktorek. Nawet świadomość, że w kaplicy zamkowej na katafalku wśród jarzących się świec leżą śmiertelne szczątki matki mego syna, nie powstrzymała mnie od bachanalskich orgij, od... ohydy!

Opuścił głowę na pierś i pogrążył się w zadumę.

Następca tronu myślał, że stary król drzemie. Ale ten ocknął się po chwili, westchnął głęboko i tak dalej mówił:

— Życie mi już cięży, dolega mi... Czy ty wiesz, że życie może być czasem straszniejsze niż śmierć, że może dolegać bardziej niż najcięższa choroba? Dziś wszystko mnie męczy. Męczą mnie ludzie, męczy mnie praca, nie mam do niczego ochoty. Powiem otwarcie: nic mnie już w życiu nie interesuje. Nawet sprawy państwowe nie absorbują mnie tak, jak kiedyś.

— Jeszcze kilka lat temu było nas więcej. Był twój ojciec, był Zygmunt, Emil, byłeś i ty. Kraj nie miał obaw o dynastję, o następcę tronu. Dziś jest tylko nas dwóch, ty i ja... Ja. Cóż ja? Zniedołężniały starzec, człowiek rozmawiający z duchami i widmami. Ja już wychodzę z obiegu. To tak samo, jakbym umarł.

— Naród, kraj muszą mieć następcę tronu. Trzeba utrzymać ciągłość pokolenia, trzeba dostarczyć nowego ogniwa do łańcucha przodków. Trudno, taki nasz los...

I znowu zaległa cisza królewska komnatę. Stary król zasłuchał się we własne wspomnienia. Przeliczał minione dnie i patrzył w widmowe twarze tych, co przed nim władali krajem, a odeszli z ziemi już na zawsze.

Starzy ludzie mają podobno zdolność widzenia umarłych. A może to nie jakaś nadprzyrodzona zdolność pozwala im na widzenie rzeczy niedostępnych zwyczajnym śmiertelnikom, może to jedynie wynik bezpośredniego i bardziej skutecznego przemawiania do sumienia, serca i duszy dawno minionych przeżyć. Ludzie starzy zwykli robić obrachunek ze swego życia, a przy takim obrachunku odżywają na nowo dawne czyny i postacie tych, z którymi przeżyło się chwile złe i dobre.

Milczał także następca tronu.

Słowa królewskie wzbudziły w jego duszy jakieś nieznane dotąd uczucia. Usłyszał wołanie krwi, głos przodków, głos rodu domagającego się ciągłości istnienia.

Tak jest, był już ostatnim z rodu. Człowiek walczy nietylko o istnienie indywidualne, osobnicze, jest w nim przyrodzone wołanie o nieśmiertelność. Jest wołanie gatunku, rodu, domagające się życia. Kiedy człowiek umiera nie pozostawiając po sobie potomka, to tak jakby umarł na zawsze, jakby wykreślił się całkowicie ze świata. Bezpotomne zejście ma w sobie coś ze samobójstwa.

— A czy wolno mi popełnić samobójstwo? Czy wolno mi popełnić zbrodnię wobec swego rodu? Myśli te odezwały się w nim krzykiem. Zdziwił się, zdawało mu się, że krzyknął naprawdę.

Ale to nieprawda. Nie krzyknął mimo, iż coś rwało się w jego piersi, coś przestawiało się w jego duszy. Zmieniał się światopogląd, padały w gruzy dawne wierzenia na kruchych oparte podstawach.

Stary król mówił dalej:

— Ty jeden zostałeś. Naród domaga się następcy. Winien go jesteś swojemu ludowi. Łańcuch nie może być zerwany. Ten łańcuch, ta konieczność propagowania rodu ciąży nam nieraz jak kajdany u nóg. Trudno, musisz się z tem pogodzić.

Następca tronu podszedł do króla.

— Którąż to z księżniczek mam poślubić? — powiedział schylając głowę.

Król sięgnął ręką do biurka, na którem leżały ozdobne teczki. Z jednej z nich wyjął mały arkusz papieru. Widniały na nim imiona kandydatek na żonę przyszłego króla. Drżącą ze starości dłonią wręczył ten papier swemu następcy.

Pochylił się nad białą zapisaną kartą i czytał półgłosem:

— Charlotta, Kornelja, Joanna, Violetta, Zenobja, Stefanja... Przy każdem imieniu był podany wiek kandydatki.

Przesunęły mu się przed oczyma twarze, widziane w czasie uroczystości weselnych z okazji zaślubin księżnej Franciszki. Widział je wszystkie, widział te księżniczki heskie, oldenburskie, wirtemberskie, austrjackie, badeńskie i t. d. Wesołe, może nawet miłe stworzonka, rwące się do życia i użycia. Jedne swobodne nad miarę, inne trzymające się w ryzach starych, surowych obyczajów i dworskiej etykiety.

Nie, żadna z tych nie odpowiadała mu. Zmiął papier w ręce, zagryzł wargi, a potem stając przed obliczem królewskiem i unosząc śmiało głowę, popatrzył w oczy władcy i powiedział:

— Żoną moją zostanie księżniczka Gabrjela. Możnaby jej imię wypisać na czele tej litanji, z dodatkiem, że ma lat 27 i jest brzydka.

Zdziwił się stary król.

— Gabrjela? Cóż to za jedna, czyja to córka?

— Księcia Klaudjusza z Turyngji to krew.

— Ach, tego dziwaka, prawnika, czy urzędnika? Coś o tem słyszałem. Ale ona przecież starsza od ciebie o rok i jak mówisz, brzydka.

— Wolę ją niż inne. Jeśli muszę się żenić, a nie mogę ożenić się z kobietą, którą kocham ponad wszystko, to tylko Gabrjela może zostać moją żoną. Ona wie o tem, że kocham inną. Jest mądra i wykształcona. Zdaje sobie sprawę z wielu rzeczy, o których inne nie mają pojęcia. Przed nią będę mógł być szczery, nie będę musiał grać fałszywej roli i uciekać się do kłamstw i wykrętów. Patrzy trzeźwo na życie, wie czego

ma od życia żądać, wie o tem co jej da małżeństwo ze mną. Będzie to „mariage de raison".

Króla nie przekonały te wywody księcia. Nie zachwycił się jego wyborem. Był jednak człowiekiem ustępliwym. Nie lubiał sporów.

— Rób jak uważasz. Ja osobiście wolałbym Joannę. Młoda, przystojna, wesoła, zdrowa...

— Nie chcę — odpowiedział książę z naciskiem. Nie chcę właśnie dlatego, że młoda, ładna, wesoła. Nie chcę, by zamartwiła się przy mnie na śmierć. Za bardzo kocham inną, do której teraz nie mam żadnych praw, a która mogła była być moją żoną. Takiej miłości nie zapomina się, nie można jej wydrzeć z serca, ani pamięci. Chcę, by moja żona była wyrozumiałą towarzyszkę, nic więcej od niej nie wymagam. Chcę być uczciwy wobec własnego sumienia i wobec tej, z którą się zwiążę na całe życie.

Gorycz, żal, niemal rozpacz wiała z jego słów. Mówił kategorycznie, podkreślając z naciskiem każde słowo. Król, nie protestował.

— Dobrze, ja osobiście zgadzam się. Porozmawiam z twoją matką i z szefem rządu i nawiążemy rozmowy na ten temat z księciem Klaudjuszem.

— Chciałem jeszcze o coś prosić... Chciałbym sam najpierw pomówić z Gabrjelą osobiście. Potem proszę robić, jak nakazuje zwyczaj i ceremonjał dworski.

I na to zgodził się stary król. Był zadowolony z tego, że następca tronu tak łatwo zgodził się na ożenek. Sprawa mogła wziąć trudniejszy obrót.

Nie brał tragicznie miłosnych cierpień swego następcy.

— Zapomni prędko — myślał. Każdemu młodemu zdaje się, że tylko on cierpi, że cały świat powinien dokoła niego się obracać. Każdy z nich uważa, że rana miłosna nie zagoi się nigdy. Każdy przysięga, że póki mu tchu w piersi stanie, nie zapomni o swej bogdance. Życie jednak ma swoje prawa. Czas leczy wiele chorób i tę chorobę uleczy.

Martwił się jedynie król wyborem kandydatki.

— Brzydka, biedna może sensatka... Sprzykrzy mu się... medytował. Ale Aurelja, moja żona?.. Tak, była młoda i piękna... I cóż z tego wynikło? Zapiekło go to wspomnienie do żywego.

Milcząc pożegnał swego następcę, który wolnym krokiem odszedł z pokoju.

Długo jeszcze przemierzał stary król wolnemi krokami gabinet, długo myślał i zastanawiał się nad przyszłemi losami swego państwa. Straże pałacowe stojące na dziedzińcu widziały nocą sylwetkę królewską przesuwającą się na tle dużych okien gabinetu.

— Coś ważnego zadecyduje się w tych dniach — mówił starszy oficer warty pałacowej do swego młodszego kolegi. Pamiętam, że tak chodził jak nocy dzisiejszej w jakiś czas po śmierci żony.

— A może to widmo syna nie daje mu spać po nocach? — odpowiedział młody porucznik.

— Masz rację. Czasami nie dają nam spać po nocach widma. Stary król ma wiele takich widm, co drżeniem przejmują jego duszę. Dobry to pan, ale nad wyraz nieszczęśliwy.

Tak rozmawiali oficerowie straży, podobnie mówiła ludność stolicy.

VIII.

Na małej stacyjce koło Mödlinburga wysiadł z osobowego pociągu następca tronu. Przyjechał tu bez świty, bez towarzystwa. Był sam jeden. W ręku trzymał małą walizkę podróżną. Wyglądał na sportowca, lub też przygodnego turystę, który zapędził się w te rzadko odwiedzane strony. Rozglądał się dokoła jakgdyby szukał drogi wiodącej ku miastu. Wreszcie podszedł do staroświeckiej dorożki i kazał zawieźć się do najlepszego hotelu w miasteczku.

— Pojedziemy do Ritza — powiedział stary dorożkarz i smagał konia batem.

Przejechali szeroką ulicą, tworzącą dojazd do dworca, potem skręcili na drogę biegnącą przez pola, wreszcie ciasnemi uliczkami przedmieść i nieustępującą im wyglądem ulicą główną, dotarli do rynku, zatrzymując się przed szarą, odrapaną kamienicą, na której przybito dużą wywieszkę ze złotym napisem: „Hotel Ritz".

Właściciel hotelu i posługacz, który gwałtownie wdziewał na siebie zniszczoną liberję portjera, przywitali go niskiemi ukłonami. Dano mu najlepszy pokój. Był obszerny, czysty i jasny.

Zapisał w księdze hotelowej jakieś nazwisko pierwsze, które mu się nasunęło na myśl, dopisując przy niem „inżynier".

Przebrał się, zjadł niezbyt smaczny obiad i kazał posługaczowi zaprowadzić się do willi swego przyszłego teścia.

Miał sporo czasu. Szedł wolno, przypatrując się z ciekawością małym domkom i ogródkom przydrożnym. Zatrzymał się dłużej przed kilku pomnikami. Jak w każdem miasteczku niemieckiem, tak i tu stały na cokołach popiersia i postacie królewskie. Niemal wszyscy królowie i książęta rzeszy niemieckiej byli reprezentowani na tych pomnikach. Brakowało tylko pomnika Wilhelma II.

— Chyba jemu już nie postawią pomnika, pomyślał. A może, kto to wie?

Przedostał się na przedmieście i szeroką drogą wysadzaną drzewami owocowemi, przy której stały większe lub mniejsze domki, obrośnięte dzikiem winem, dotarł wreszcie do celu.

Willa księcia adwokata wyróżniała się wśród innych domów wielkością i stylem. Za żelaznem ogrodzeniem na tle zieleni i drzew, rysował się piękny budynek z tarasem, opadającym szerokiemi schodami na podjazdowy dziedziniec. Dokoła dziedzińca widniały pięknie strzyżone trawniki z kwietnemi klombami. Na ścianach barwną plamą kwiatów rysowały się pnące róże.

Furta przy bramie stała otworem. — Wszedł do ogrodu.

Była już jesień, chociaż zieleniła się trawa i kwitły róże. Przeszedł podjazd i wolno schodami wstąpił na taras. Zatrzymał się chwilę, rozglądając się, czy niema kogo w pobliżu. Pusto było. Otworzył drzwi wiodące do hallu. I tu nie zastał nikogo. Przed nim stały otworem drzwi do dalszych pokoi. Stał niezdecydowany. Wreszcie w otwartych drzwiach w głębi pokoju pojawiła się księżniczka. Podeszła do biurka, poprawiając kwiaty w flakonie. Dokoła bioder miała opięty zielony fartuch. Włosy przytrzymywała jej zielona siatka.

Postąpił kilka kroków naprzód. Odwróciła głowę w stronę hallu i na widok gościa zarumieniła się.

— Książę tu? — powiedziała ze zdziwieniem i nietajoną radością. Co za miła niespodzianka. Szła ku niemu wyciągnąwszy dłonie.

Uścisnął jej rękę pochylając postać w wytwornym ukłonie.

Spojrzał teraz na nią mierząc ją krytycznym wzrokiem.

— Miał rację król. W tym fartuchu i w tej siatce na głowie nie bardzo będzie harmonizowała z królewskiemi komnatami.

— Głupstwo, myślał dalej. Pójdzie do dobrego krawca, dostanie zręczną pokojówkę, pieniądze, a reszty dokona jej własny spryt.

— Rodziców niema — odezwała się — pojechali w sąsiedztwo. Wrócą lada moment.

Prowadziła go do salonu, zdejmując po drodze fartuch.

— Bardzo lubię pracę w ogrodzie — tłumaczyła się przewieszając fartuch przez ramię.

— Zechce książę łaskawie spocząć chwilę w salonie — zaraz wrócę. Odeszła do dalszych pokoi.

Salon był duży, widny, urządzony gustownie. Podłogę zaścielał piękny dywan perski, w kącie stał dobrej marki fortepian, na ścianach wisiały obrazy niebylejakich artystów. Meble były stylowe. Nastrój panował miły. Usiadł na fotelu przy oknie, czekając przybycia księżniczki. Nie dała mu długo czekać. Weszła szybko do salonu radośnie uśmiechnięta. Zauważył, że nawet nie zdążyła poprawić nieco zwichrzonej fryzury.

— Nie wiem czemu mamy przypisać ten zaszczyt? — zagaiła rozmowę.

— Nie domyśla się pani nawet?

— Nie. Nie próbuję się nawet domyślać. Cieszę się tylko z tej niespodzianej wizyty.

Powstał i patrząc głęboko w jej oczy powiedział nadając swym słowom dźwięk uroczystej powagi:

— Przyszedłem zapytać pani, czy zgodziłaby się pani zostać moją żoną?

Drgnęła, przybladła, przymknęła oczy, ażeby nie wyczytał z nich wrażenia, jakie wywarły na nią przed chwilą usłyszane słowa. Milczała.

A on mówi dalej:

— Pani wie, że kocham księżnę Franciszkę. Poznałem ją w czasie pobytu w Taorminie. Pokochaliśmy się. Wyznałem jej swą miłość, ale nie zdążyłem przed nią zdradzić swoje incognito. Tak wszystko przyszło nagle. Pani wie... Dostałem telegram o tragedji na dworze. Zginął brat, zginął następca tronu. Musiałem nagle wyjechać. Kiedy wróciłem było już zapóźno.

— Teraz muszę się ożenić. Przedłożono mi listę kandydatek, odrzuciłem je wszystkie. Wybrałem panią. Szukam przyjaciela, towarzysza...

Milczała przewracając nerwowo kartki książki leżącej na stole. Cóż miała odpowiedzieć? Ofiarowano jej nagle stanowisko o jakiem nigdy nie myślała. Miała zostać królową.

Spojrzała na księcia. Siedział przed nią z głową opuszczoną na piersi. Wydał się jej w tej chwili człowiekiem bardzo nieszczęśliwym, potrzebującym oparcia i pomocy.

— Dziękuję panu za zaszczyt i zgadzam się.

Podniósł się na te słowa, podszedł do niej i pocałował serdecznie wyciągniętą ku sobie dłoń.

— Postaram się o to, ażeby księżniczka nie żałowała swego kroku. Postaram się, ażeby pani było dobrze.

* * *

Zdumienie niepomierne ogarnęło księcia Klaudjusza, gdy po powrocie do domu zastał następcę tronu przechadzającego się po ogrodzie w towarzystwie Gabrjeli. Zdumienie to spotęgowało się, kiedy dowiedział się o tem co sprowadziło dziedzica korony pod dach jego domu.

Księżna z trudem kryła radość, jaka ją rozpierała. Nie myślała nigdy o takim zaszczycie. Była szczęśliwa w życiu, nie pragnęła wiele, ale czasem zazdrościła innym matkom, których córki chodziły w blasku i dostatku. Martwiła się niefortunnem małżeństwem młodszej córki i brakiem kandydata do ręki starszej. Zwykłe troski macierzyńskie. Zdawała sobie z tego sprawę, że Gabrjela nie jest ładna, a uroda kobiety to przecież wielki atut w jej życiu.

Biedna i ładna, to jeszcze ma jakieś szanse, ale biedna i brzydka, to naprawdę sytuacja beznadziejna.

Nagle taka niespodzianka, taki splendor, taki zaszczyt! Gabrjela ma zostać królową bogatego państwa, królową posiadającą najpiękniejsze klejnoty. Tego nie spodziewała się nigdy.

## IX.

Panowie przeszli do gabinetu. Książę Klaudjusz przystąpił do szczegółowego omówienia małżeństwa swej córki z następcą tronu.

Księżniczka Gabrjela wyszła do ogrodu, chcąc w samotności otrząsnąć się z nawału wrażeń, jakie na nią spadły w ciągu dnia.

W głębi ogrodu na kamiennej ławie pod staremi drzewami zastała matkę ocierającą chusteczką łzy z oczu.

Przyśpieszyła kroku. Podbiegła do matki, uklękła przy niej i obejmując ją ramionami zalękniona poczęła mówić:

— I cóż ci się stało mateńko? Czego płaczesz?

— To z radości moje dziecko. Takie szczęście, takie wielkie szczęście...

— Czy to tylko szczęście? — pomyślała dziewczyna ze smutkiem.

— Masz mateńko bardzo oryginalny sposób wyrażania swej radości — powiedziała żartobliwie. Wzięła z rąk matki chusteczkę i poczęła ocierać jej zapłakane oczy. — Nie płacz już...



*Nagrodę Nobla w dziale medycyny, za rok 1935 otrzymał fizjolog niemiecki dr. Hans Spemann, którego widzimy na zdjęciu.*

— Takie szczęście! Tak wielkie szczęście! Będziesz królową bogatego kraju, będziesz mieszkała w cudnym pałacu... Nie w jednym tylko... Mają ich kilka. Poczekaj... Ileż to oni mają zamków?

Wyciągnęła dłoń przed siebie, unosiła ją na wysokość twarzy i poczęła liczyć na palcach.

— Jeden w stolicy, to właściwa rezydencja... Potem pałac nad morzem. To bardzo piękny budynek. Znają go na całym świecie. Dzieło jakiegoś mistrza włoskiego, czy francuskiego. Już nie pamiętam. Trzeci zamek... Gdzież to ten trzeci zamek? — Aha! Już wiem. Ten trzeci zamek leży w górach. Przepiękny jest. Zawieszony na wysokiej skale, zbudowany kilkaset lat temu, wygląda jakby go nie ludzkie ręce ale nadprzyrodzone siły wydźwignęły pod niebo. To zamek rodowy. W jego murach wziął początek królewski ród. Orle to gniazdo. Potem pamiętam jeszcze zamek myśliwski. Jest jeszcze rezydencja letnia, a pozatem są pomniejsze wille i pałacyki. Pomyśl tylko, to wszystko będzie twoje.

Staruszka poczęła opowiadać o cudownościach tych zamków królewskich, pałaców i will. Znała je wszystkie dobrze. Niejedną szczęśliwą chwilę swej młodości spędziła w salonach tych pałaców królewskich i we wspaniałych starych parkach zamkowych.

Gabrjela słuchała o tych cudach pogrążona w zadumie. Milczała. Słowa matki nie wywoływały u niej zachwytu, ani entuzjazmu. Nie o wspaniałościach myślała dziewczyna. Nie myślała o królewskiej koronie, bogactwach i splendorze monarszym. Dusza jej pragnęła czegoś innego. Z drżeniem i bólem w sercu myślała o tem, czy też przy boku przyszłego króla znajdzie to, za czem tęskniła całe życie. Czy znajdzie serdeczną miłość, czy znajdzie spokój i szczęście. Za jego miłość wyrzekłaby się wszystkich skarbów świata. Pragnęła być mu wierną towarzyszką, druhem serdecznym, przyjacielem. Chciała być mu pomocną, chciała rozproszyć jego smutki i wzmocnić go w chwili słabości. Biedny to był, bardzo biedny człowiek.

Tymczasem stara księżna, nie odgadując stanu duszy córki, snuła dalej swoją opowieść. Uspokoiła się już, nie płakała. Mówiła, a głos jej dźwięczał nutą nieukrywanej radości.

— A klejnoty... Pamiętam, byłam raz z ciotką księżną bawarską w odwiedzinach u nieboszczki królowej Aurelji. Oglądałyśmy te klejnoty. Czego tam niema w tym skarbcu? Perły, brylanty, rubiny, szmaragdy, szafiry... Przypominam sobie zupełnie wyraźnie przepiękną kolję z brylantów i jaspisu... Była także druga wspaniała, również z brylantów... Widziałam jeszcze jedną z opali i rubinów...

— Z opali i rubinów — powtórzyła jak echo Gabrjela. — Z opali i rubinów... To krew i łzy... Nie wiedziała, dlaczego to mówi. Myśli jej w tej chwili, gdy wyrzekła te słowa, krążyły dokoła postaci wszystkich tych królowych, które przy boku swych mężów opływając w dostatkach i splendorze królewskim, chodząc, miały życie płynące nie po różach, ale po cierniach.

— Krew i łzy — powtórzyła.

Stara księżna nie dosłyszała, albo też nie zrozumiała swej córki. Mówiła dalej zasłuchana we własne wspomnienia.

— A koronki, a futra! Sobole, gronostaje, lisy, karakuły... Pamiętam ten dzień pobytu u Aurelji. Słońce świeciło wtedy jakoś inaczej, jaśniej, czyściej, promienniej, niż zazwyczaj. Złota smuga jego promieni padła na gotowalnię królewską. Stały na niej flakony z wspaniałego kryształu, złote puzderka, wysadzane drogiemi kamieniami... W promieniach słonecznych wszystkie te cuda grały ulewą barw... Zaniemówiłam z zachwytu. Wrażenie tych chwil, spędzonych w królewskiej rezydencji, pozostało do dnia dzisiejszego. Dziś jeszcze widzę wyraźnie te wszystkie cuda przed swemi oczyma.

— Chciałam kiedyś w dzieciństwie, ażeby to wszystko było moje. Pragnęłam szczęścia, bo któż z nas nie chce być szczęśliwy? Potem chciałam, żeby to wasze było. Chciałam szczęścia dla swych dzieci. Dobry jest Bóg, moje dziecko! Pragnienia moje ziściły się. Dlatego płakałam z radości i rozczulenia. Dziękowałam Bogu za to, iż wysłuchał moich próśb i moich tęsknot najserdeczniejszych.

— Powiedz, mateńko — odezwała się Gabrjela — gdyby ci dano te wszystkie cuda za cenę rozstania się z ojcem, czy zgodziłabyś się na opuszczenie go?

— Nie! — padła odpowiedź. Krótkie to słowo było twarde jak granit. Nie dopuszczało dalszej dyskusji.

Zaległo milczenie. Obie kobiety pogrążyły się w rozmyślaniach.

— A czy kiedyś żałowałaś tego, że nie zostałaś królową? — odezwała się wreszcie Gabrjela.

— Jak możesz o to pytać? — powiedziała z wyrzutem stara księżna.

— Inne to były czasy — ciągnęła dalej. — Kochałam twego ojca nad ży-

cie. Pięć lat, pięć długich lat czekaliśmy na siebie. Mój ojciec nie mógł mi nic dać prócz skromnej wyprawy. Twój ojciec kończył studja, borykał się ciężko z życiem. Musiał pracować sam na swoje utrzymanie. W domu u jego rodziców była bieda. Szesnaścioro dzieci mieli twoi dziadkowie. Pomyśl, ile kosztowało wychowanie ich wszystkich. Mieli nieduży majątek, ale to wszystko nie mogło starczyć na potrzeby domu. Przyszło wreszcie dla nas wybawienie. Ojciec dostał kilka tysięcy marek w spadku po dalekiej krewnej. Mógł zakończyć studja i osiąść tutaj, rozpoczynając pracę zawodową. Bardzo nam było ciężko w pierwszym okresie po ślubie. Pan Bóg pobłogosławił nas. Nie mamy majątku, nie mamy dostatków i zbytku, żyjemy jednak spokojnie i nie narzekamy. Są ludzie, którym o wiele gorzej powodzi się w życiu. Teraz Bóg dał mi jeszcze większe szczęście. Córka moja zostaje królową. Pamiętasz, że nie chciałaś jechać na wesele księżnej Franciszki. Miałam przeczucie, że czeka tam na ciebie szczęście, kiedy cię tak bardzo prosiłam, ażebyś pojechała na książęcy zamek. Znalazłaś szczęście.

Gwarzyła jeszcze długo stara księżna, analizując wszystko to, co dziś nawiedziło jej dom. Pełna była szczęścia i dumy.

— Już późno — powiedziała nagle, patrząc na zegarek. — My tu mówimy, a trzeba zakrzątnąć się około przyjęcia dostojnego gościa.

Powstały z ogrodowej ławki i szybkim krokiem poszły do domu.

Panów zastały w salonie. Stali obaj przy oknie, patrząc na piękny ogród.

— Książę zechce łaskawie zostać u nas na kolacji — odezwała się księżna, przekraczając próg salonu.

Skłonił się przed nią dwornie.

— Rozmawialiśmy właśnie z księciem o tem, że szczęście można znaleźć nawet w skromnej willi w małem mieście.

— Szczęście w nas mieszka — odezwał się książę Klaudjusz. — Jeśli nie mamy go w sobie, napróżno szukać go po świecie.

— Książę należy jeszcze do starej generacji romantyków. Ja już z innej gliny jestem ulepiony. To pokolenie, do którego należę, ma w duszy pesymizm. Wy, starzy, byliście szczęśliwi waszą wiarą w życie i w ideały. Nas życie pozbawiło wszelkich złudzeń. Niema w naszych piersiach tego ognia zapału, który waszą młodość ożywiał. Życie dla nas było bezlitosne. Odarło nas ze złudzeń i podcięło skrzydła.

Mówił, patrząc na czysty lazur nieba, rozpięty za oknami ponad ciemno-zieloną gęstwą drzew.

Gabrjela obserwowała jego rasowy profil, rysujący się ciemną sylwetą na tle szyby.

Podzielała jego myśli. Wiedziała, co gnębi jego duszę. Wiedziała, że przeżywa nastrój tragiczny. Stracił złudzenia i mógł stracić wiarę w życie i siebie. Szuka teraz tej wiary, szuka mocy i ideałów. Czy ona potrafi zastąpić mu stratę?

Poczęła myśleć o sobie. Zostanie królową, ale czy to królowanie przyniesie jej szczęście? Będzie żoną człowieka, którego kocha, ale którego dusza tęskni za inną... Poczuła tępy ból w piersi. Żyć z nim, nie mając nadziei na jego miłość, to rozpacz. To męka bez granic. Ale czy bez niego życie byłoby lepsze?

Pięć miesięcy upłynęło od czasu, kiedy widziała go po raz ostatni. Ten czas był jednem pasem tęsknoty, nocy bezsennych i uczucia beznadziejności. Tęskniła za nim, przywoływała go ku sobie myślami, nie mogąc zapomnieć tych kilku chwil, jakie spędziła na rozmowie z nim.

Broniła się przed uczuciem, które nagle powstało w jej duszy. Męczyła samą siebie zgryźliwą ironją, kpiła ze swej miłości, a jednak... Życie jej całe płynęło od chwili spotkania go na książęcym zamku, w smutku i tęsknocie, w beznadziejnej męce.

Teraz ziści się jej tęsknota. Zostaje królewską małżonką. Ale nie koniec jej męce. Męka przed nią może jeszcze większa.

— Może zechcesz pokazać księciu swe gospodarstwo?

Podniosła się z fotela i spojrzała na człowieka, który od kilku chwil był jej narzeczonym. Patrzyła na niego wzrokiem jasnym, sięgającym w głąb duszy, jakby chciała odgadnąć najistotniejszą treść jego jaźni.

Pod jej spojrzeniem odwrócił twarz od okna.

— Może zobaczymy ten piękny ogród, który tylko w przelocie mogłem podziwiać.

Wyszli przez werandę, pokrytą pnączami dzikiego wina, do ogrodu. Szli starannie utrzymanemi ścieżkami wśród klombów kwiatów, na których płonęły barwami róże, dalje, lewkonje, goździki i astry. Na każdym kroku podziwiać można było staranną i dbałą dłoń ogrodniczki.

Gabrjela przystawała co chwila, chwaląc się przed księciem rzadkiemi odmianami kwiatów, które udało się jej wyhodować. Była dumna z owoców swej pracy.

Ale on szedł koło niej spokojny, zrównoważony, chłodny, a myślami był daleko od spokojnego ogródka prowincjonalnej willi. Te kwiaty płonące na szmaragdowych gazonach przypominały mu kwietne cuda dalekiej Sycylji. Przypomniały mu twarz ukochanej dziewczyny, patrzącą na niego z poza zasłony kwiecia pomarańczy i jaśminu.

Szedł jak automat. Chwalił piękność ogrodu, zachwycał się pracą swej towarzyszki, gładził dłonią piękne krzewy kwietne, ale wszystko to było nieszczere.

Nadszedł książę Klaudjusz. Następca tronu począł przed nim wychwalać zdolności ogrodnicze córki. Szli dalej we trójkę pod cieniem drzew, rozmawiając o rzeczach napozór obojętnych. Każde z nich jednak myślało o czem innem. Stary książę myślał o losie swego dziecka. Nie wiedział, co je czeka na królewskim dworze. Następca tronu szukał myślami Kariny i żarł się własnym bólem. Gabrjela męczyła się sprzecznemi uczuciami, jakie miotały jej duszą.

Książę Klaudjusz począł mówić o polityce.

Zostawiła ich w ogrodzie, a sama poszła do matki, krzątającej się około przygotowania kolacji.

Pomogła w dopatrzeniu wszystkiego i w przygotowaniu nakrycia. Potem pobiegła na górę do swego panieńskiego pokoju, ażeby przebrać się do kolacji.

Tu zmęczona wrażeniami opadła ciężko na kolana przed krucyfiksem, wiszącym nad jej łóżkiem i poczęła modlić się głośno:

— Dziękuję Ci, Boże, za spełnienie mych marzeń najskrytszych. Nie chciałam splendoru królewskiego, nie chciałam bogactw i sławy. Wiesz o tem najlepiej, może lepiej odemnie, bo znasz tajniki mej duszy. Chciałam pomóc jemu, jego nieszczęściu i tragedji. Nie chciałam, by ugiął się w męce i upadł. Chciałam go wesprzeć... Wiem, że życie moje będzie ciężkie. Ale, o Panie, zniosę tę mękę żywota dla niego. Dla mnie będzie radością to, że będę mogła być przy jego boku, a szczęściem ta chwila, kiedy uda mi się bodaj na moment rozchmurzyć jego czoło i rozsłonecznić duszę. Całe moje życie złożę w ofierze. Tobie, o Panie, tem życiem ofiarnem chcę podziękować za Twą przeogromną dobroć.

Ujęła twarz w dłonie, a przez palce jej poczęły sączyć się łzy.

Te łzy przywróciły jej spokój. Pokrzepiła ją modlitwa. Skrzepła wewnętrznie, wzmocniła się i poczuła, że dobrze zrobiła, decydując się na stanowczy krok.

Myśli jej teraz poczęły krążyć około innych zagadnień. Nie o własnem myślała szczęściu. Myślała o ukochanym człowieku, o tem, że potrafi mu dać szczęście i spokój. Rzecz dziwna... Była pewna tego, że mimo wszystkich przeszkód uda jej się odrodzić swego przyszłego męża.

Powoli zatracało się w niej pragnienie własnego indywidualnego szczęścia. Poczęła myśleć o tem ile to potrafi zrobić dobrego przy boku władcy, którego będzie żoną. Myślała o rzeszach ludzi biednych, cierpiących, o wdowach i sierotach. Tym przedewszystkiem będzie musiała pośpieszyć z pomocą.

Wspomniała też życie dworskie, życie otoczenia królewskiego, ten tłum dworaków, pochlebców i intrygantów. Trzeba będzie dużego wysiłku woli i opanowania siebie, ażeby przewalczyć wszystkie przeszkody, jakie staną jej na drodze do realizacji szlachetnych zamiarów. Będzie musiała bronić swego królewskiego małżonka przed krecią robotą różnego typu polityków, którzy na oku mają jedynie interes własny.

A poza tem wszystkiem pozostanie jej własny dom, jej własna rodzina. Stanie się z czasem matką królewskiego rodu, da krajowi władcę, jak dawały wszystkie, które przed nią wraz z królewską koroną brały w udziale cierpienia i troski.

Przez kilka godzin ostatnich zmieniła się Gabrjela do niepoznania. Dojrzała zupełnie. Opanowała ją wola czynu i poświęceń.

# Raj kobiet

## Pani rano




J 72124 Praktyczny szlafroczek z jednokolorowej, jasnej flaneli, przybranej jedwabiem w kratkę.

J 72125 Elegancka piżama z cienkiej prążkowanej wełny. Kołnierz i mankiety w kontrastowym kolorze.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 1,90 zł przez P.K.O. 207393.

### Jak się oświadcza Holender

Kandydaci do stanu małżeńskiego w Holandji, o ile mają zbyt mało odwagi do wypowiedzenia swych myśli wobec wybranej, mogą według starego zwyczaju, nic nie mówiąc... wszystko powiedzieć. Nieśmiały młodzieniec, który nie jest w stanie zdobyć się na wyjawienie swych uczuć ukochanej, puka poprostu do drzwi swojej wybranki, prosząc o ogień. Powtarza to się raz, drugi i trzeci.

Za każdym razem nie mówi ani słowa, zapala tylko cygaro i uprzejmie dziękuje pełen najlepszych nadziei — odchodzi. Decyzja wybranej nastąpi dopiero za trzeciem pukaniem. Gdy chłopiec jej się nie podoba, zamknie mu drzwi przed nosem. Gdy nie jest jej obojętny — gościnnie zaprasza.

Młodzieniec wciąż milcząc wypala cygaro do końca. Dziewczyna podaje mu nowe, które już sama zapala. Obrzęd ten ma być oznaką zaręczyn.

### Jakie są najmodniejsze suknie jesienne

Moda obecna zaznacza się przedewszystkiem przeładowaniem wszelkiego rodzaju draperyj, zmarszczek, fałd, chwastów i szamerowań. Zaznacza się to przedewszystkiem, w sukniach popołudniowych i wieczorowych, gdyż, jeśli chodzi o ogólną linję, to do godziny piątej jest gładka i równa. Cała ekscentryczność przejawia się jedynie w rękawach. Najmodniejsze i trzeba przyznać efektowne są wszelkiego rodzaju kryzy i stuarty.

Suknie przedpołudniowe, sportowe angielskie. Dużo garsonek. Wszelkiego rodzaju kamizelki wstawiane są bardzo modne. Podchodzą one bardzo wysoko pod szyję i szyte są w odmiennych od całości kolorach.

Począwszy od przedpołudniowych, a skończywszy na popołudniowych przybierane są suknie sznurami i chwastami. Guziki i paski bardzo szerokie; do sukien jedwabnych nosi się paski przerzucane chwastami.

Suknie wieczorowe nosi się bardzo długie, przyczem doły ich są nierówne, przody krótsze, tyły dłuższe. Doły często przewijane jak przed trzydziestu laty. Modne są wszelkie treny marszczone. Pozatem stylowe suknie francuskie. Obcisłe, bardzo długie, obficie marszczone z tyłu z wypuszczonemi olbrzymiemi trenami.

Piękny model sukni wieczorowej widziałam niedawno na jednej z rewji mód: suknia z czerwonego jedwabiu z olbrzymim trenem, wypuszczonym od samego ramienia.

Modne są pozatem wszelkiego rodzaju plisowania, godety i popie rękawy. Kolory ciemne: granat, zielony, bronz i czarny. Z materjałów najmodniejsze są na suknie popołudniowe wszelkie velurs, velurs chiffony, poprostu powiedzieć można, że zapanowała „pasja velurowa", pozatem wytłaczane marocain'y, chanjenne, crepe satin i cloque.

Trzeba podkreślić, że w obecnej modzie, wieczorowej zaznacza się — powrót do mody z czasów naszych prababek. Naturalnie z wielkiemi modyfikacjami.

To, co noszono kilkadziesiąt lat temu, staje się obecnie na nowo bardzo modne.

Nie kryją się z tem wcale również sami konferencjerzy na rewjach, którzy zapowiadają lansowanie na rewjach mód modele jako „suknie rodzinne" albo „wspomnienia ukochanej babci" itd.

Tak więc widzimy, że moda obecna łączy w sobie prostotę nowoczesnej linji z urokiem zapomnianych, kobiecych kryz, żabotów, falbanek i trenów z zeszłego stulecia.

### Kosmetyki elegantki z przed 1600 lat

Musiała to być bardzo wytworna i dbała o swój wygląd dama, której kości znaleziono przed kilkoma dniami w ołowianej trumnie na starym rzymskim cmentarzu w Saint Gervais we Francji. Określono jej wiek na „bagatelkę", bo... 1600 lat.

W kamiennym sarkofagu znaleziono ołowianą trumnę, a w niej przy mizernych resztkach szkieletu olbrzymią ilość buteleczek i słoików. Zawierały one nietknięte przez nielitościwy czas szminki, pudry i inne kosmetyki.

Istniał rzeczywiście zwyczaj rzymski, że elegantkom wkładano do trumny to, czego najczęściej używała za życia. Obecność kosmetyków w trumnie nie jest więc nawet tak bardzo dziwna.

## RADY PRAKTYCZNE

— *Połysk w garderobie wełnianej* usuwa się przez natarcie miejsc wyświeconych mieszaniną: 1 litr wody miękkiej, 50 gramów soli i 50 g. amonjaku. Prasować wilgotne po lewej stronie.

— Pociemniałe żółte trzewiki mogą odzyskać spoworotem dawny swój wygląd, jeżeli wyczyścimy je w następujący sposób: oczyszczone z kurzu i brudu trzewiki należy wytrzeć dobrze gąbką zwilżoną w benzynie i powtarzać to tak długo, za każdym wyschnięciem trzewików, aż skórka stanie się jasną. Wkońcu należy trzewiki natrzeć zwykłą pastą do obuwia i wyczyścić szczotką.

## Najciekawe audycje Polskiego Radja w Warszawie od dnia 10. 11. do dnia 16. 11. 1935 r.

### Niedziela, dnia 10 listopada 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.00 Nabożeństwo 12.03 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny z Poznania. W przerwie o godz. 13.00 fragm. słuchowiskowy z „Lilli Wenedy" 14.00 Recytacja prozy 14.20 Muzyka lekka 15.00 Godzina rolnika 16.00 „Wojsko idzie" — obrazek dla dzieci młodszych 16.15 W muzykalnym domu 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Muzyka taneczna 17.40 Migawki regjonalne 18.00 Muzyka lekka 18.15 Słuchowisko 19.25 Wiadomości sportowe 19,30 Barkarole — audycja muzyczna 19.45 Co czytać? 20.00 Koncert — z Krakowa 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 „Wesoła Lwowska Fala" 21.30 „Kajakiem w drodze do Indyj" — feljeton 22.00 Muzyka taneczna.

### Poniedziałek, dnia 11 listopada 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.00 Transmisja nabożeństwa z Katedry św. Jana 10.45 Koncert 12.03 Przegląd teatralny 12.15 Uroczysty Poranek Muzyczny 13.00 Fragment słuchowiskowy — „Horsztyński" 13.20 Polska kapela ludowa 14.00 Fragment z powieści „Dni listopadowe" 14.20 Muzyka salonowa 15.00 Pogadanka 15.15 „Rytmy polskie w obecnej muzyce" — koncert 16.00 „Dzisiejsze święto w Polsce" 16.15 Chór Związku Strzeleckiego 16.45 „Otrzęsiny" 17.00 Pogadanka 17.15 „Hymn Zmartwychwstania" — M. Grossek-Koryckiej 17.20 Orkiestra 36 p. p. 17.50 „Z pogranicza Abisynji" 18.00 Recital skrzypcowy 18.30 Pogadanka dla dzieci starszych 18.50 Muzyka 19.35 Wiadomości sportowe 20.00 Koncert solistów 20.40 Dziennik wieczorny 20.50 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 „Raport pracy" — aud. okolicznościowa 22.30 „Nasza marynarka gra".

### Wtorek, dnia 12 listopada 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.30 Muzyka salonowa 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 13.30 Z rynku pracy 15.30 Wspomnienia z operetki Pawła Abrahama 16.00 Skrzynka P. K. O. 16.15 Koncert z udziałem solistów 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 „Jak powstał metr" — pogadanka 17.15 Koncert 17.50 Skrzynka językowa 18.00 Recital fortepianowy 18.30 „20 lat teatru" 18.45 „Krakowiaki" — z płyt 19.00 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Przemówienie p. Premjera Janusza Jędrzejewicza 20.05 Koncert symfoniczny z Katowic. W przerwie: dziennik wieczorny oraz Obrazki z Polski współczesnej 22.30 Odczyt 22.45 Światowy Kongres Esperantystów w Rzymie — odczyt w języku esperanckim — wygł. Prof. Bujwid 23.05 Muzyka taneczna.

### Środa, dnia 13 listopada 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik Południowy 12.15 Pogadanka dr Gustawa Szulca 12.3 Koncert małej orkiestry P. R. 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 15.30 Zespół wokalny „T. 4" 16.00 Rozmowa Majster Klepki z Lepi-Glina 16.20 Muzyka 16.45 Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja 17.00 Na marginesie dyskusji 17.20 Koncert kameralny z Poznania 17.50 Świat się śmieje 18.00 Duety w wykonaniu Maryli Karwowskiej 18.30 Skrzynka ogólna 18.45 Z oper R. Szarda Straussa 19.00 Sprawiedliwy podział paszy — pogadanka 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Reportaż aktualny 20.00 Perpetuum mobile... przez 45 minut — aud. muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 XI audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina" 21.40 Szkic literacki 21.55 Wszyscy kupujemy i sprzedajemy — pogadanka 22.05 Koncert utworów Romana Statkowskiego 23.05 Muzyka taneczna.

### Czwartek, dnia 14 listopada 1935 r.

6.30 Audycja Poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Poranek szkolny ze Lwowa 13.00 Muzyka 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 15.30 Koncert Zespołu Tychowskiego 16.00 Reportaż Starego Doktora 16.20 Muzyka lekka 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Odczyt 17.15 Koncert kameralny 17.50 Książka i wiedza 18.00 Koncert solistów 18.45 Muzyka salonowa 19.00 Poznajmy przepisy finansowo-rolne 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Wesoła audycja muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Premjera słuchowiska Obiad Brodzińskiego 21.35 Nasze pieśni 22.00 Koncert muzyki norweskiej 23.05 Muzyka taneczna.

### Piątek, dnia 15 listopada 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla dzieci starszych ze szkół 12.40 Koncert Zespołu Adamskiej — Grossmanowej 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 13.30 Z rynku pracy 15.3 Orkiestra dęta 62 P.P. 16.00 Pogadanka dla chorych 16.45 Chwilka pytań — audycja dla dzieci 17.00 Odczyt — reportaż z Zakł. Anatomji Patologicznej U. J. 17.15 „Minuta poezji" 17.2 Recital fortepianowy 17.5 Poradnik sportowy 18.00 Recital śpiewaczy Gerharda Hucha 18.30 Pogadanka aktualna 18.45 Stare walce 19.00 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 „Biuro studjów rozmawia ze słuchaczami P.R." 20.00 Aktualny monolog 20.10 Koncert symfoniczny. W przerwie: dziennik wieczorny i „Obrazki z Polski współcz." 22.30 Muzyka taneczna

### Sobota, dnia 16 listopada 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dzienik południowy 12.15 Mała orkiestra P. R. 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 14.30 Muzyka lekka 15.00 Fragment z powieści „Sól ziemi" 15.15 „Nasz handel morski" 15.30 Orkiestra Katza — z Wilna 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.15 Utwory organowe 16.30 Skrzynka techniczna 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Dusza języka i dusza kraju — reportaż 17.15 Nowości z płyt 17.45 „Dziki Łabędź" — pogadanka 17.50 Miasteczko zakopane odczyt 18.00 Audycja dla dzieci 18.30 Przegląd wydawnictw 18.40 Pogadanka społeczna 18.45 Utwory Berlioza — z płyt 19.00 Przegląd rolniczej prasy 19.35 Wiadomości sportowe 19.5 Pogadanka aktualna 20.00 Mozajka muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 21.30 Wesoła Syrena 22.00 Czar walca — operetka 23.20 Transmisja muzyki tanecznej.

# Kraina szczerości i naszych trosk

**Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu**

## Dobre rady p. Zofii

### SZABLON

Noc... cisza... tajemniczość... wkrótce świtać
zacznie...
W spokojnym śnie spoczywa dawny dworek
stary,
Z pod białych kolumn frontu wypełza cień
szary...
Jakiś karli kształt dziwny, zgarbiony pokracznie.

Gdy nutę dawnych wspomnień potrącić niebacznie,
Znów starych umiłowań powracają czary:
Bzów się niesamowicie splatają konary,
Jakgdyby ktoś ramiona wyciągał rozpacznie.
Kiście dzikiego wina beznadziejnie zwisły —
Kształt karli — szary Szablon pocichu się śmieje:

Serca kilku pokoleń spleśniały i skisły,
W jaśminowym zapachu umarły nadzieje,
W przesądach kamieniały rozszalałe zmysły,
A nikt się nie wyzwolił... nikt... nigdy...
Już dnieje.

*M. Mszczycka.*

### KTO CHCE ZNALEŹĆ PRZYJACIELA NIECH NAPISZE

*„Ledi"*. Pyta Pani, czy zmienić swój pseudonim? Uważam, że to zbyteczne — bowiem obecny brzmi całkiem miło.

Bardzo to pięknie, że po tak długim czasie napisała znowu Pani do mnie. Myślę, że odtąd będziemy częściej pamiętały o sobie!?

Koniec liściku Pani zamieszczam niżej dosłownie: Przesyłam wszystkim „Siostrzyczkom" z „Krainy" serdeczne pozdrowienia, a osobne: „Fakirowi" — „Gwidonowi" — „Architektowi z pod Wagram" — „Dumnemu Lwu" — „Szatynowi 31" — „Ben — Alemu" — „Apollo" — „Parysowi" — „Leonowi z Warszawy" — „Sokołowi z Mazowsza" i „Antocnowi" z prośbą, by ktoś, kto pragnie znaleźć przyjaciela, zechciał choć kilka słów do mnie napisać.

### WARTO NAWIĄZAĆ BLIŻSZY KONTAKT

*„Meteorek"*. Wnioskuję z listu, że jest Pan bardzo wesołym młodzieńcem i zawsze pełnym humoru. Korespondować z Panem będzie prawdziwą satysfakcją, to też radzę wszystkim smutnym Sympatykom „Krainy" długo nie czekać, lecz odrazu postarać się o zadzierzgnięcie bliższego kontaktu z „Meteorkiem".

Wierszyki do druku nie pójdą — za mało poważne. Może Pan nadeśle inne.

### NIE ROZUMIEM

*„Smutna Indjanka"*. List Pani zasmucił mnie. Nie rozumiem dlaczego Pani tak pesymistycznie zapatruje się na przyjaźń ludzką, przecież nie wszyscy ludzie są sobie wilkami, gdyż inaczej niemożliwe by było współżycie. Proszę, niech mi aPni w następnym liście z całym zaufaniem opisze swoją przeszłość, gdyż czuję, że ktoś musiał Pani zrobić w życiu wielką krzywdę i tem samem zabił w Pani wiarę w ludzi. Myślę, że prośbie tej Pani nie odmówi?

Na zakończenie przesyłam w imieniu Pani pozdrowienia dla „Jadźki z Kujaw" — „Białej Uajali" — „Kaliny" — „Ord — Oma" i „Białego Murzyna".

### HALLO! SYMPATYCZKI Z BRZESKA!

*„Ryśka D"*. Kochana Rysiu! Wzruszasz mnie swemi liścikami i tą wielką ufnością, jaką mnie darzysz. W ostatnim liście było jej tyle, że nie mogłam się wprost oprzeć uczuciu jakiegoś rozrzewnienia. Postaram się nie zawieść, „Rysiu", tego przywiązania, jakie żywisz do mnie.

List wysyłam. Pozdrowienia, któreś mi poleciła przesłać: „Księżniczce Dari" — „Smutnej Kazience" — „Dzince" i „Nieznanemu" — przekazuję! Następnie apeluję do Sympatyczek „Krainy", zamieszkałych w Brzesku, aby zechciały nawiązać bliższy kontakt z „Ryśką D".

### WOLAŁABYM

*„Dzika Cyganka"*. „Malutka" prośba Pani została spełniona, tak samo wysłany list do N. Wolałabym, żeby pseudonim u Pani nie zmieniała, gdyż osobiście jestem wielką przeciwniczką zmieniania pseudonimów bez jakiegoś ważniejszego powodu — to wprowadza bowiem chaos i nieporozumienia.

Pozdrowienia dla „Czarnego Li" — „Antocha" — „Marzyciela z pod Kościana" — „Białej Uajali" — „Ord — Oma" i „Białego Murzyna" — przekazuję.

### ŻYCZENIA SPEŁNIAM JAK NAJCHĘTNIEJ

*„Eden"*. Nad sprawą zamieszczenia powieści historycznej w „Moich Powieściach" — jeszcze pomyślimy. Do reszty życzeń Pani odnoszę się jak najprzychylniej. Również zamieszczam część listu Pani, dotyczącą Sympatyków „Krainy":

„Fakir" niech będzie mężczyzną w każdym calu i napisze pierwszy do kobiety, a nie żąda, aby ona do Niego pisała — osobiście, jestem mocno tym Panem zainteresowana i proszę Go o napisanie do mnie kilku słów...

„Młody Techniku z Gdyni", czy Ci nie wstyd prosić członkiń naszej „Rodzinki" o napisanie do Ciebie listu? Chętnie nawiążę z Tobą korespondencję, gdyż znam Gdynię bardzo dobrze, ale pod tym warunkiem, że się pierwszy odezwiesz...

Hallo „Largo"! Przesyłam Ci dużo serdeczności. Może Pan do mnie napisze? Odpowiem szybko!...

„Rybaku z Helu", czy nie byłeś przypadkiem w roku 1928 w Śremie, w Szkole Podchorążych? Ślę Ci moc miłych pozdrowień i szczery uścisk dłoni. Napisz do „Eden", a dowiesz się dużo ciekawych rzeczy!...

W końcu zapytuję „Czarnego Olka", czy nie pożyczyłby mi także książkę: „Dzwonnik z Notre Dame". — byłabym Mu bardzo wdzięczną. Po przychylnej odpowiedzi nadeślę Panu mój adres!...

### PEWNĄ JESTEM...

*„Optymista Sir"*. Prośbie Pana uczyniłabym chętnie zadość, jednakże moja „działalność" nie sięga tak daleko, abym mogła przychylać się do próśb, podobnych Pańskiej. W tym wypadku musi Pan sam decydować i sam obserwować, aby znaleźć pokrewną sobie duszę i nawiązać z nią bliższy kontakt. Oto moja jedyna rada! Pewną jestem, że już w najbliższym czasie odpowiednio się Pan do niej ustosunkuje?

### SŁOWOM PANA PRZYZNAJĘ RACJĘ

*„Brunet"*. List Pana przeczytałam bardzo uważnie. Słowom w nim zawartym przyznaję rację i dlatego przychylnie odnoszę się do życzeń Pana.

Załączone przez Pana pozdrowienia dla: „Blanki" — „Cyganeczki" — „Młodziutkiej Ślązaczki" — „Niezapominajki" i „Wesołej Dziewczynki" — przekazuję. A może któraś z tych Pań napisałaby do „Bruneta" kilka miłych słów. Napewno by się ucieszył i długo nie czekał z odpowiedzią.



### REFRAIN RADOSNEJ PIOSENKI

Refrain jakiejś radosnej piosenki
Łączy się z każdem wspomnieniem.
Nie wiem, kiedy słyszałam te dźwięki,
Z jakiem je wiązać imieniem.
Refrain ten błyśnie jak kwiat,
Gdy wszystko wkoło się mroczy:
„Cudne jest życie i świat,
Gdy patrzę w twe jasne oczy."
Na słów tych dźwięk z za mgły się wychyla
Uśmiech, lub czyjeś spojrzenie,
Jakaś napół zapomniana chwila
Powraca do mnie wspomnieniem.
— Te słowa znane od lat,
Czar ich me serce otoczył:
„Cudne jest życie i świat,
Gdy patrzę w twe jasne oczy."
Lubię refrain tej miłej piosenki —
— Co wspólnego nic nie ma ze mną.
Nie wiem, kiedy słyszałam te dźwięki,
Dziś znam ich siłę tajemną.
Refrain w mą duszę się wkradł,
Jak skarb go cenię uroczy:
„Cudne jest życie i świat,
Gdy patrzę w twe jasne oczy."

*Jadźka z Kujaw.*

### UWAGA „SAMOTNA DZIDZI"!

*„Ten"*... Dziękuję Panu gorąco za dobre, życzliwe słowa, które są zawsze dla nas zachętą i bodźcem do dalszej pracy.

Jak najchętniej zamieszczam urywek z listu Pana, po przeczytaniu, którego „Samotna Dzidzi" niewątpliwie się bardzo ucieszy.

„Po przeczytaniu w „Krainie Szczerości" Twego miłego liściku, „Samotna Dzidzi", postanowiłem z Tobą nawiązać korespondencję. Pracuję również w biurze. Ogromnie byłbym zadowolony, gdyby moje dotychczas płonne marzenia zrealizowały się i napotkałbym wresz cie bratnią duszę, która byłaby w stanie zrozumieć moje zmartwienia i podzielić moje radości. Czy otrzymam liścik od „Samotnej Dzidzi"?

### NATURALNIE!

*„Marzyciel z pod Gniezna"* przesyła pozdrowienia Czytelnikom „Moich Powieści" i wyraża wielką chęć nawiązania skimś korespondencji. Uważa, że pisywanie listów będzie dla Niego bardzo pożądaną reakcją, po całodziennem pełnieniu nudnych funkcji urzędnika kolejowego.

Naturalnie! Cóż może stanowić pożyteczniejszą i milszą rozrywkę, nad pisywanie i odczytywanie interesujących listów od nieznanych osób z szerokiego świata?...

### NAPISZCIE!

*„Zenia z lasów"* zainteresowała się swemi siostrzyczkami z „Krainy", mianowicie: „Samarytanką", „Niezapominajką", „Paziem i „Helutką". Możeby więc te Panienki nawiązały bliższy kontakt z „Zenią", która prowadzi cichutkie życie daleko w lasach. Do najbliższej wioski ma 5 klm. Pomyślcie, co za samotność! Zwłaszcza teraz w długie, jesienne wieczory! Nie czekajcie więc długo i urozmaićcie „Zeni" te wieczory ciekawemi i interesującemi wiadomościami z szerokiego świata. Odpłaci się Wam za to w dwójnasób.

„Zenia z lasów" przesyła również pozdrowienia: „Pellowi" — „Hordowi" — „Pomorzaninowi wśród lasów" — „Oczeretowi" i „Białemu Murzynowi" i wyraża nadzieję, że i któryś z wymienionych wyżej Panów zdobędzie się choć na krótki list.

Wierszyki miłe, ale słabe.

### SAMOTNOŚĆ I TĘSKNOTA

*„Ari"* pisze: „Już oddawna jestem czytelniczką „Moich Powieści". Zachwycam się kącikiem „Krainy szczerości" i może dlatego dzisiaj odwaga wzięła u mnie górę nad nieśmiałością, i proszę o przyjęcie do „Rodzinki".

Jestem szatynką średniego wzrostu — córką urzędnika. Żyję z rodzicami na wsi i jest mi dobrze. Czasami tylko tęsknię za kimś dalekim, nieznanym. Najchętniej korespondowałabym z jakimś nauczycielem, któryby potrafił swoimi liścikami rozweselić mi niejedną samotną chwilę."

## W STAREM MIEŚCIE

Staremi uliczkami, pełnemi wyboi,
Błądzę czasem samotnie, jakąś nocną porą,
Gdy chmury poszarpane wiatr po niebie goni,
Susząc wielkie kałuże i chłodząc me czoło.

W ciszy, co mnie otacza, słyszę własne kroki,
Na domach cień mój jest tylko mi towarzyszem,
W sen świat zapada mocny, słodki i głęboki,
A wiatr ciepły mu śpiewa, pieści i kołysze...

Idę przed siebie zwolna i patrzę w podziwie
Na zapleśniałe mury latami zużyte,
Na frontony w kamieniu rzeźbione przedziwnie,
Wykusze stare, freski nad bramą ukryte.

Dzikiem winem obrosłe wysmukłe arkady
Rysują się w ciemnościach w podworcach zawartych,
Srebrnym blaskiem nad niemi płonie księżyc blady,
Szukając jakichś śladów już dawno zatartych...

Wysoko na strzelistych wieżach zawieszone
Zegary wydzwaniają mistyczną godzinę —
Echem odbrzmiały mury, kamienie zbudzone.
Czy dźwięk ten przepowiada im może ruinę?

*Marja Naturska — Kraków.*

## BRAK TOWARZYSTWA

*„Angelina i Estera“*, dwie siostrzyczki, apelują do „Ramzesa“ i „Natana“ o liściki. Skarżą się na brak odpowiedniego towarzystwa — chyba więc to wzruszy „Ramzesa“ i „Natana“ i odpowiedzą na apel serdecznemi słowami.

## NIE NADESZŁA

*„Będący w nadziei“*. Prośbie Pana uczyniłam zadość i załączony liścik przekazałam dalej. Do redakcji żadna korespondencja dla Pana nie nadeszła. Może teraz ktoś napisze, gdy się dowie, że pomimo apelu, nie otrzymał Pan żadnego listu. Serdecznie pozdrawiam.

## ILE RAZY BĘDZIE PRZYKRO...

*„Powój“*. Bardzo się cieszę, że w chwili ciężkiej depresji zwróciła się Pani do mnie — zbyteczne tylko były przedwstępne skrupuły. Niech mi Pani wierzy, że nic mnie tak nie cieszy, jak częsta pamięć o mnie i darzenie mnie całkowitem zaufaniem. Ile razy Pani będzie przykro i poczuje Pani ochotę wypowiedzenia się przed kimś, niech zawsze z całą swobodą i szczerością do mnie napisze, tak jak ostatnim razem.

List — przesłałam. Zwracam się również w imieniu Pani do „Natana“, aby zechciał do Pani napisać.

Łączę jak najserdeczniejsze pozdrowienia i ściskam serdecznie ręce Pani.

## CZY ZAINTERESUJE?

*„Miecio 09“* marzy o „królewnie z bajki“, oraz potrafi pisać ślicznie, słodkie liściki. Jest 25-letnim blondynem, 170 cm. wysokim, o piwnych oczach. Myślę, że powyższe zainteresuje niejedną „królewnę“ z „Krainy“, i w rezultacie czego „Miecio 09“ będzie miał sposobność, choć w drobnej części zrealizować swoje marzenia.

Narazie jednak musi cierpliwie czekać.

## OTRZYMAŁAM

*„Ptaszyna z nad morza“*. Adres otrzymałam. Dziękuję! Szkoda tylko, że tak późno, gdyż te osoby, które napisały do Pani, długo musiały czekać na odpowiedź. W następnym liście, proszę, niech mi Pani doniesie, czy jest zadowolona z nawiązanej korespondencji — dobrze?

## WITAJCIE, MIŁE ŚLĄZACZKI!

*„Ala i Hilenka“* — to dwie przemiłe, wesołe Ślązaczki, które tak się same scharakteryzowały: „Jesteśmy niebardzo przystojne, ale i niebrzydkie, brunetka i szatynka, może trochę czupurne (— zapewniam, że jest to u Pań bardzo, bardzo miłe!); jedna „złości się“ — telefonem, druga maszyną do pisania — ale przeważnie jesteśmy wesołe i lubimy, ale to szalenie, odpisywać na listy!“

A ja mogę jeszcze dodać od siebie, że „Ala i Hilenka“ piszą listy przemiło: bezpośrednio, szczerze, lekko, z prawdziwą młodzieńczą beztroską i humorem — więc doprawdy warto z niemi nawiązać korespondencję. „Sapienti sat...“

Za serdeczne pozdrowienia ślicznie Paniom dziękuję — i w pełni je odwzajemniam.

## A WIĘC DOBRZE...

*„Córka wichru“*. „Poprawię się, Kochana Pani, jak Bozię kocham, poprawię się!...“ — pisze Pani. A więc dobrze, kapituluję, chociaż chciałam Panią porządnie zburczeć za niedotrzymanie słowa.

A teraz słuchajcie, Drodzy Sympatycy!: „Córka wichru“ chciałaby nawiązać z kimś miłym nić przyjaźni, bo oprócz kochającego braciszka nie posiada żadnej bliskiej i oddanej duszy. Myślę więc, że się do Niej odezwiecie, Kochane Czytelniczki i Czytelnicy?

## WIERSZYKI — MIŁE

*„Dzinka“* dziękuję za pamięć i śle pozdrowienia następującym Sympatykom: „Lili Wenedzie“ — „Małej Konwalijce“ — „Blance“ — „Oli z Wesołej Dwójki“ — „Iste Wenus“ — „Sylwanette“ — „Żądłu“, p. Romanowi N., „Ord — Omowi“ — „Hrabiemu Monte — Christo“ i „Czarnemu Olkowi“.

Nadesłane wierszyki — miłe. Dzisiaj oddaję jeden z nich do druku. Czy Pani zadowolona?

## APEL SYMPATYCZNEJ POMORZANKI

*„Błyszcząca Gwiazdeczka“* śle pozdrowienia: „Hersztowi“ — „Smutnemu Urwisowi“ — „Ikarowi II.“ — „Idealiście Pałuckiemu“ i „Romanowi z Kujaw“ i apeluje do Sympatyków „Krainy“, aby któryś z nich skreślił do Niej kilka słów. Odpowiedź dostanie napewno.

„Błyszcząca Gwiazdeczka“ mieszka na Pomorzu, w bardzo ślicznej okolicy. Posiada oczy błyszczące, jak gwiazdy i koralowe usteczka. Bardzo lubi śpiew, muzykę, sport — podobno jest panienką „do tańca i różańca“.

Na zakończenie „Gwiazdeczka“ przesyła pozdrowienia p. Klarci Burnickiej z Opalenia. Zapewnie odbierzesz je, Klarciu, z radością... choćby dlatego, że będą one dla Ciebie niespodzianką?

## CIESZĘ SIĘ!

*P. Zofja L.* Chociaż bilecik był taki malutki, to jednak dowiedziałam się z niego dużo. Cieszę się, że tak radośnie Pani i życzę Jej jak największej zadowolenia na grzybobraniach. Sama kiedyś również urządzałam wyprawy do lasu na grzyby, więc wiem, ile emocji i radości zawsze im towarzyszy. Serdecznie Panią pozdrawiam i mocno ściskam.

## NIE WIEM

*„Czarnemu Olkowi“ — poświęcam*

Nie wiem dlaczego łzy cicho płyną,
Łzy ukrywane — bólem piekące,
Bólem co targał sercę i duszę
Przez dni — tygodnie — długie miesiące,
Dziś ból ten spływa razem ze łzami
I razem z nimi ulga przychodzi,
A to, co wczoraj zwałeś urokami,
Dzisiaj świetlanym blaskiem cię zwodzi.
Lecz cóż dać może obłok zwodniczy?
Obłok, który się prędko rozwieje? —
Chwilę zachwytu — czarę goryczy
I nieziszczone nadzieje.
Czyż warto gonić barwne motyle,
Lub srebrną chmurkę na niebie?
O nie! Bo ona piękna dla oczu,
Lecz jej nie pragnij dla siebie,
Bo całe życie twe będzie złudą,
Złudą niepewną — okrytą mgłami,
A często złudę opłacić trzeba
Bólem — cierpieniem i łzami.

*„Dzinka“.*

## JAK NAJCHĘTNIEJ

*„Zbłąkana Gwiazda“*. Sympatyk, o którego Pani pyta, nie posiada takiego imienia, jakie wymieniła Pani, tak samo nie mieszka w Toruniu. „Księżniczkę Dari“, oraz Jadźkę z Kujaw pozdrawiam w imieniu Pani jak najchętniej.

Za dobre, słoneczne słowa całuję Cię serdecznie, Kochana „Gwiazdeczko“, z nadzieją, że znowu się kiedyś do mnie odezwiesz.

## MAM NADZIEJĘ

*„Iksunia z Grudziądza“*. Sprawę wysyłki „Moich Powieści“ załatwiła już administracja. Mam nadzieję, że korespondencja nasza nie ulegnie zmianie? Będziemy chyba starym zwyczajem pisywały do siebie listy, tak jak było dotychczas?

Pisze mi Pani, że w Jej usposobieniu zmieniło się na lepsze. Ciekawa jestem, co na to wpłynęło? A może się dowiem w następnym liście?

## KOMU SMUTNO — NIECH NAPISZE

*„Dziewczę z Jasnego Brzegu“* — potrafi pisać prosto, szczerze, kojąco i bardzo serdecznie. Komu więc smutno, niech do Niej napisze, a odwrotną pocztą otrzyma kochany i miły liścik.

„Dziewczę z Jasnego Brzegu“ czeka na pierwszy odzew, a narazie przesyła wszystkim smutnym duszyczkom słodki i jasny uśmiech. „Kochajcie mnie i piszcie“ — prosi.

## APEL DO MIŁYCH I SYMPATYCZNYCH ŚLĄZACZEK

*„Podchorąży Janek“* byłby bardzo zadowolony, gdyby jakaś miła i sympatyczna czytelniczka „Moich Powieści“ z okolic Śląska skreśliła zaraz do Niego liścik. Jest podchorążym zawodowym, chciałby więc przez korespondencję osłodzić sobie szare, koszarowe życie.

## DZIĘKUJĘ!

*„Smutna Broniś“*. Obszerny liścik Pani odebrałam. Dziękuję Pani za niego, a zwłaszcza za dobre i życzliwe słowa w nim zawarte.

Z całą przyjemnością apeluję do Sympatyków „Krainy“, aby napisali i do Pani miły list. I niewątpliwie, się znajdzie się ktoś taki, co zainteresuje się Panią i spełni Jej życzenie. Zresztą to okaże przyszłość. Narazie musimy poczekać — prawda?

## RESZTĘ POZOSTAWIAM ZAINTERESOWANYM

*„Kapłanka Wschodu“*, *„Zadumana Greczynka“* i *„Uśmiech Poranku“*, trzy bardzo kochane istotki pukają do drzwi „Krainy“ i proszą Sympatyków o liściki. Jak widzę z opisu, Panienki te są nietylko kochane, ba! nawet urocze... Boję się jednak, aby nie powiedzieć za dużo, wobec tego kończę i pozostawiam resztę tym, którzy zainteresują się temi trzema koleżankami.

## PAMIĘTAJCIE

*„Dziewczynka z Bydgoszczy“* to bardzo miluchna Panienka. „Kocham cały świat i ludzi i pragnę, aby i mnie wszyscy kochali“. — pisze w swym liściku. Chciałaby, tak, jak i inne „siostrzyczki“ nawiązać korespondencję, pamiętajcie więc o tem, Drodzy Sympatycy i napiszcie do Niej.

## *Teczka Wujka Janusza*

## WIERSZE — W KOSZU

*„E—we“*. Wiersze Pani umieściłem w koszu, tak, jak to Pani przewidziała. Czy warto dalej pisać wiersze? Nie, stanowczo nie. Lepiej zająć się inną, więcej przystępną pracą. Poezja to rzecz za wzniosła i za mało dostępna dla tych, co piszą róże przez „u“ i szarzyzna przez z z kropką.

Za pozdrowienia — bardzo dziękuję i rówrzyzna przez z „zet“ kropką.

## ZOBACZYMY

*„Judym“*. Wiersze nadesłane przez Pana bardzo piękne — cóż, kiedy są w niektórych zdaniach naśladownictwami. Utwór powinien być zawsze samodzielny o indywidualnej kompozycji, a nie wzorowany na czyichś myślach.

Proszę, niech Pan napisze coś sam, a zobaczymy, czy warto pracować nad sobą dalej.

## KRÓCEJ I LOGICZNIEJ

*„Eldorado“*. W wierszach Pana tkwi taki chaos, że trudno o nich coś konkretnego powiedzieć. Może uda się Panu napisać coś krótszego i więcej logicznego?

## PROSZĘ O DALSZĄ WSPÓŁPRACĘ

*„Aneta B. z S“*. „Melancholja“ — za przesadny wiersz i za długi, abym go mógł umieścić, natomiast „Listopad“ jest dobrym, w całem tego słowa znaczeniu. Umieszczę go w jednym z najbliższych numerów „Moich Powieści“. Proszę Panią o dalszą współpracę z nami i ślę Jej jak najserdeczniejsze pozdrowienia.

# *Wśród warjatów*

*czyli*

## *Upiór zamku Sokolskich*

*(Romans)* 61)

A w takim razie, radzi sobie w ten sposób, że pokryjomu zastawia albo nawet i sprzedaje swoje kosztowności. Dałem jej trzy tysiące franków, chociaż otwarcie przyznać muszę, że naramiennik bez porównania większą przedstawia wartość. Ale to są nasze właśnie dochody, panie hrabio."

„Rozumiem", rzekł hrabia Zygmunt, „wzięła więc sumę, poszła i nie przyszła więcej, — tak, czy nie?"

„Przeciwnie, panie hrabio, w trzy dni przyszła znowu i przyniosła trzy kosztowne pierścienie, które wobec mnie ściągnęła z palców. Przy tej sposobności zauważyłem, że miała ślubny pierścionek".

„A te trzy pierścienie mogę je widzieć?"

„Żałuję mocno, panie hrabio, ale wczoraj właśnie kupił je jakiś hiszpan. Zresztą na tém nie koniec, bo i trzeci raz zaszła do mnie. Tą razą jednak zwróciła się tylko do mnie z zapytaniem, czy sznur pereł prawdziwych można zastąpić fałszywemi w ten sposób, by nawet wprawne oko nie odkryło naśladowania".

Z ust Zygmunta dał się słyszeć z cicha jęk.

„Prawdziwe perły zastąpić fałszywemi — tego żądała ta dama od pana, — jakąż jej pan dałeś odpowiedź?"

„Powiedziałem", odparł kupiec, „że naturalnie każdy brylant można zastąpić fałszywym, — tak samo rzecz się ma i z perłami!

Opowiadałem jej, że są naśladowania, które tak po mistrzowsku są wykonane i posiadają tak wspaniały ogień, połysk i wygląd, że idą na oko niemal o lepsze z prawdziwemi, — ale znawca prawdziwy, rzeczywisty zwieść się tem nie da! Dodałem był nawet żartobliwie, że to nie tak jest, jak u ludzi! Blask oczu, różowe policzki, piękny wzrost łatwo zwieść mogą, — ale prawdziwie perły lub kamienie są prawdziwsze, uczciwsze pozwalają temu, — kto umie, — czytać w sobie prawdę".

„Cóż ona na to?"

„Słowa moje zdawały się ją nieprzyjemnie dotykać. Posmutniała. Gdyby, — mówiła, — taka imitacja była możliwą, — miałaby na zbycie klejnoty wartości pół miljona franków. — W końcu, odchodząc, rzekła, że się namyśli i prawdopodobnie przyjdzie jeszcze".

„I od tego czasu!"

„Nie widziałem jej już więcej!" odrzekł jubiler, „ale jestem tego pewny, że jeszcze przyjdzie".

„Z czegóż to pan wnosi?" zapytał Zygmunt w podrażnionym tonie.

„Panie", rzekł jubiler, „jam posiwiał w moim zawodzie i nauczyłem się nie tylko kamienie oceniać, ale w wyższym jeszcze stopniu ludzi, z którymi się stykam. A najlepiej poznać ludzi i zajrzeć w głąb ich duszy, gdzie chodzi o pieniądze, o złoto, o klejnoty. Kto jest właściwie ta pani, dotąd nie wiem jeszcze".

„Rzeczywiście nie?" przerwał Zygmunt, „napewno?"

„Klnę się na zbawienie mej duszy!"

„I nie próbował pan dowiedzieć się czegoś bliższego o osobie tej damy, kto ona jest? Mój panie, to brzmi trochę nienaturalnie, — jak może jubiler kupować klejnoty wartości sześciu do dziesięciu tysięcy franków i nie wiedzieć, z kim ma do czynienia".

„Wiem, panie hrabio", rzekł, wzruszając ramionami kupiec, „wielu z moich kolegów po zawodzie zażądałoby niezawodnie podania nazwiska od tej damy. W wielkich magazynach są nawet stale tajni ajenci. W przybranym stroju idą za dotyczącemi osobami, skoro one opuszczą magazyn, — i wywiadują się o mieszkaniu i stanie majątkowym. Ale ja to, panie hrabio, uważam za zupełnie zbyteczne. Czy pan sądzi, że ja nie wiem, jak się właściwie rzecz ma".

„Jeżeli pan wiesz, to powiedzże mi, obchodzi mię to niezwykle!"

„Cały materjał mojego, nie chlubiąc się, bogatego doświadczenia stawiam do pańskiej dyspozycji!" rzekł kupiec. „Uważa pan hrabia, jeżeli kobieta, która, — jak w tym wypadku nie ulega wątpliwości, — posiada imię i pozycję wysoką, socjalną, — tak usilnie stara się spieniężyć klejnoty a nawet gotowa jest, kazać prawdziwe djamenty i perły zastąpić fałszywemi, — daje to do myślenia, z którego dwa wnioski wysnuć można: po pierwsze posiada kochanka, który bez wątpienia jest niegodziwcem, i nieszczęśliwą kobietę wyzyskuje a powtóre ma męża, który się o nią mało troszczy, jest zatem przez nią oszukiwany".

Hrabia Zygmunt zachwiał się, — musiał znowu usiąść.

„Napad zdaje się, powraca?" pytał troskliwie jubiler wyglądając przez okno na ulicę, „gdybyż tylko jak najprędzej wrócił pan hrabia zięć z proszkami".

„Rzeczywiście", rzekł Zygmunt, „gorzej mi, niż sądziłem! Mam uczucie, jakbym stał nad brzegiem przepaści!"

Jubiler nie przeczuwał, że słów swoich hrabia Zygmunt nie odnosił do swego fizycznego, stanu, tylko dyktowało je uczucie, jakby szybkim krokiem zbliżało się ku niemu nieszczęście, jakie przed półgodziną ani mu przez myśl nie przeszło.

„Tak, panie hrabio", ciągnął po małej pauzie jubiler, „moja znajomość ludzi wystarcza najzupełniej, by przeniknąć ową, choć zakwefioną damę. Potrzebuje pieniędzy dla swego kochanka, — a nie odkupię ja klejnotów od niej, odkupi drugi".

Hrabia Zygmunt zerwał się i zaczął chodzić po sklepie.

„Ja się z tem wszystkiem całkiem nie zgadzam! Czyż nie mogą być i inne powody do tego, że klejnoty sprzedaje? Dla czego zaraz tak nisko myśleć o drugich, — czemu nie znając rzeczywistego powodu, potępiać kobietę i uważać ją za podłą?"

„Panie hrabio," odparł jubiler, „tylko na ołtarzu namiętności kobieta potrafi złożyć wszystko, co jej drogie, — a nawet, co dla niej najdroższe — klejnoty!"

Zygmunt zamilkł. Musiał powiedzieć sobie w duchu, że siwowłosy kupiec swoją znajomością ludzi jak obuchem zwalił argumenty jego.

Z minutę stał pogrążony w zadumie, w końcu rzekł:

„Słuchaj pan, kupuję od pana ten naramiennik i zarazem proszę, byś odkupował od tej damy, co panu jeszcze przyniesie z kosztowności i to po cenie, jakiej sama zażąda. Policzy sobie pan procent zarobkowy i następnie mnie znowu dostawi, — ja wszystko napowrót kupuję!"

Jubiler skłonił się. Dziwny uśmiech zaigrał na chwilę na jego ustach.

„Niezawodnie bliski krewny jej", pomyślał w tej chwili.

„Dalej proszę pana i to bardzo", ciągnął z rozdrażnienia drżącym głosem hrabia Zygmunt, „by ten pan, mój zięć, który tu był i zaraz przyjdzie, nie dowiedział się ani słowa z tego, o czem z sobą mówiliśmy. Słyszy pan, — o tej zawoalowanej damie nie śmie nic wiedzieć!"

„W takim razie", snuł dalej wnioski w myśli z nieubłaganą konsekwencją jubiler, „to jego córka, a żona tego, co tu był".

Spojrzał w okno i — w tej chwili drgnął. Na przeciwnej stronie drogi ujrzał postać niewieścią, zawoalowaną, chodzącą tam i napowrót.

„To ona!" wyrwało się mimowolnie z ust kupca, „tak to ona! Mój Boże! — i to właśnie teraz —"

A choć słowa były wypowiedziane niemal półszeptem, doszły jednak uszu Zygmunta.

„Kto taki?" zawołał. „O kim pan mówił? Powiedz pan, — powiedz całą prawdę!"

„Panie hrabio", rzekł jakby ociągając się kupiec, — „ona tu, — ta dama, o której właśnie mówiliśmy!"

I mówiąc to, wskazał ręką na przeciwległą stronę ulicy.

Zygmunt, blady jak trup, skoczył, drżąc przytem na całem ciele, do szklanych drzwi, — rzucił okiem, — już miał dosyć, — wiedział, czego chciał.

Gdy wracał od drzwi, robił wrażenie, jakby był rażony apopleksją. Jubiler bał się na serjo jego widoku, by hrabiego w jego lokalu nie zaskoczyła śmierć. Zatrwożyły go objawy nienaturalnego stanu hrabiego, który chwytał ustami powietrze, rękę przyciskał do piersi i złamanym głosem jęczał raz po raz:

„O moje serce, — moje serce!"

„Idzie tu!" zawołał jubiler, „przechodzi przez drogę!"

„Ukryj mię pan!"

„Dlaczego, panie hrabio?"

„Bo muszę ją słyszeć, co będzie z panem mówiła! Moją prośbę musi pan spełnić!"

Słowa te wyrzekł hrabia rozkazującym tonem, z blaskiem fosforycznym w oczach. Jubiler sprzeciwiać się nie miał odwagi .



*Na sztucznych lodowiskach już obecnie odbywają się ćwiczenia łyżwiarskie. Widzimy na zdjęciu trening do jazdy figurowej.*

„By tylko jakiego nieszczęścia nie było", mruknął do siebie, podnosząc portjerę, która małą przestrzeń lokalu oddzielała. Tam zwykł był jadać. Na przestrzeń za portjerą ręką wskazując, szepnął hrabiemu:

„Tam, — niech się pan ukryje! Ale zaklinam pana, panie hrabio, nie czyń pan nic, coby nas wszystkich może o nieszczęście przyprawić mogło! — Wszystko da się może jeszcze naprawić, — tylko spokoju trochę i rozwagi!"

„Tak, — spokoju i rozwagi!" powtórzył hrabia, udając się za portjerę.

Jubiler spuścił za nim portjerę.

W tej samej chwili otwarły się drzwi sklepowe i wysoka, smukła, prześlicznie kształtnej figury postać kobieca przestąpiła progi lokalu.

„A, to pani", rzekł spokojnym, o ile się na to mógł zdobyć głosem, kupiec, „proszę bliżej".

„Czy pan sam?"

„Sam jeden! — Proszę usiąść!"

Postać kobieca podeszła do krzesła, — i jakby znużona długą i uciążliwą drogą, padła niemal na nie.

„Zapewne przychodzi pani w tej samej sprawie, którą ostatnią razą omawialiśmy? Pytała się mnie pani, czy prawdziwe perły lub kamienie można zastąpić fałszywemi tak, by nawet znawca nie mógł poznać różnicy?"

„A pan mi dał odpowiedź, że to niemożliwe", rzekła kobieta cichym, jakby boleścią złamanym głosem, „z drugiej strony zapewniał mię pan jednak, że tylko prawdziwy znawca, mistrz w swojej sztuce fałszerstwo odkryć potrafi."

„Tak, pani, to jest moje zdanie."

„Dobrze więc", rzekła dama, wyjmując z pod jedwabnego płaszcza elegancką kasetkę, „jestem zdecydowana nawet w takim razie część moich brylantów i pereł naśladowanemi dać zastąpić. Proszę, niech pan policzy, ile ich tu jest i powie, czy chce pan tę robotę przyjąć. Robię pana jednak uważnym, że imitacje muszą być możliwie najlepsze. Przynajmniej, by ktoś niewtajemniczony nie poznał, że — moje brylanty są fałszywe."

Jubiler wziął z jej rąk kasetkę i położył na tym samym stoliczku, przy którym hrabia przed chwilą siedział i otworzył ją. Okrzyk podziwu i zdumienia wyrwał się z jego ust.

„To są rzeczywiście nadzwyczaj kosztowne klejnoty; co za połysk, co za ogień! A więc przedewszystkiem zestawmy to wszystko, co się tu mieści. A więc najprzód broszka brylantowa, — rzeczywiście ozdoba dla królowej. Rzadko można widzieć coś podobnego. A teraz ta bransoleta, — co za smak! Siedem pierścieni, motylek złożony z brylantów, do spinki do włosów! Pani dobrodziejko, to są brylanty książęce!"

Kobieta drgnęła. W tej chwili zdawała się w jej głowie nowa myśl powstawać.

„Rzeczywiście, mój panie, pan ma słuszność", rzekła, „podziwiam tylko przenikliwość pańską, — to są brylanty jednej księżnej, u której jestem garderobianą. Moja pani zatrzymała się na czas jakiś w Paryżu. Oczekiwane papiery kredytowe z Petersburga nie nadeszły, — i księżna jest zmuszona część klejnotów sprzedać. Nieprzyjemną tę sprawę wzięłam na siebie, — księżna nakazała mi jeszcze, bym się zwróciła do kogoś, który najzupełniejszej dyskrecji dochowa."

Jubiler milczał. Wiedział dobrze, że to wszystko, co teraz słyszał, było tylko prostym wybiegiem — kłamstwem.

„A teraz będzie pan tak dobry i oszacuje te klejnoty. Mam księżnej podać sumę, którą pan za te brylanty ofiarowuje. Obliczy pan przytem wstawienie sztucznych kamieni, które naturalnie muszą być w tej samej oprawie, w której się teraz prawdziwe znajdują. Księżna życzy sobie, by interes pieniężny był do jutra załatwiony, bo do jutra pieniędzy koniecznie potrzebuje."

„To będzie poważna suma", rzekł jubiler, „nie wiem zatem, czy do jutra będę w stanie zebrać ją. Rozporządzam wprawdzie zawsze gotówką, którą mieć muszę w pogotowiu na zakupno, ale tu chodzi co najmniej o sumę 40.000 franków."

„Tylko 40.000 franków?" rzekła kobieta z głębokiem westchnieniem, „spodziewałam się daleko więcej! Ale na każdy sposób pieniądze muszą być jutro! — Panie, ale napewno proszę, — księżna gniewałaby się, gdybym jej sumy tej jutro nie przyniosła."

„Zrobię, co się tylko da", zapewniał jubiler, rzucając przytem niespokojne spojrzenia na portjerę, za którą się coś podejrzanie poruszać zaczęło, „ale teraz, pani będzie łaskawa dać mi kilka minut czasu, bym mógł brylanty zbadać. Pani zrozumie, że taką ważną sprawę należy traktować ze spokojem. Proszę mi pozwolić, że się usunę z kosztownościami do mego prywatnego kantoru za kotarą. A może mi pani nie ufa?"

„O, nie, mój panie, idź pan, — ale musisz mi obiecać, że jutro będę miała pieniądze. Ja je muszę mieć, bo od nich zależy całe moje szczęście."

„Rozumiem! Prawdopodobnie groziła księżna pani, że ją w przeciwnym razie wydali ze służby."

W rozdrażnieniu zakwefiona dama nie dostrzegła nawet ironji, jaka w tej uwadze jubilera się mieściła.

Jubiler wziął kasetkę i wyszedł z nią spiesznie za kotarę.

Dama podniosła się z siedzenia i zaczęła niespokojnie przechadzać się po pokoju. Oddech jej nerwowy świadczył o silnem rozdrażnieniu, — a i jej krok niepewny zdradzał stan duszy, w jakim się ta młoda i piękna kobieta znajdowała.

A piękną musiała być, chociaż twarzy jej welonem zasłoniętej nie można było widzieć. Ale wspanialszy wzrost, kibić i gors trudno sobie było wyobrazić! Cała jej postać tchnęła niewypowiedzianym wdziękiem i lubością, która się w dyskretnych, mimo to w oko wpadających formach objawiała.

„Muszę na chwilę podnieść welon", rzekła cichym głosem do siebie, „moje policzki palą się od gorąca, które trwoga i rozdrażnienie wywołuje. Ja zwarjuję jeszcze, jeżeli życie takie dłużej prowadzić będę musiała! Co za straszne męczarnie! Jak się upokarzać, jak się poniżać muszę, by tylko nikczemnika tego zaspakająć, byle tylko gróźb swoich nie spełnił!

„Dopiero przed kilku dniami dałam mu osiem tysięcy franków a dzisiaj, — dzisiaj przyszedł znowu i domaga się pięćdziesiąt tysięcy ode mnie! — Powiedziałam mu, że mu tyle dać nie mogę, że nie mogę pozbawiać się wszystkich klejnotów, inaczej wzbudzę podejrzenie u męża lub ojca. Łotr ten odrzekł mi na to drwiąco: „Zrób, com ci dawno doradzał, — wymień prawdziwe kamienie na fałszywe, — to pójdzie i pójdę musi."

I wśród łez mówiła z cicha dalej do siebie:

„Gdy ten straszny człowiek przede mną stoi, wtenczas znika cała moja

odporność. Niewypowiedziana trwoga i przerażenie owładają mną, gdy się noc w noc zjawia w mojej sypialni, do której mu jeszcze sama muszę drogę torować. Biada mi, gdybym której nocy zapomniała przymocować do okna drabinkę sznurową, — którą z ogrodu dostaje się do mnie, — to byłaby moją śmierć! — Jeszcze gorzej, on gotów coś tysiąc razy gorszego zrobić, bo zdradzić mię przed moim mężem a wtedy — —"

Lola — bo ona to była — przyłożyła obie ręce do falującej piersi, — na jej pięknej twarzy osiadł ból i rozgoryczenie.

„Och, — dawnobym już była kres tej walce położyła, byłabym się rzuciła mojemu mężowi do nóg, wyznała wszystko, — ale dziecko, — maż być to dziecko, które pod sercem mojem noszę, zniesławione? Nie, nie, — to nie może być! Dla tego dziecka muszę dalej walczyć, — dla niego dalej cierpieć, bo to jego dziecko, on mi je dał — — — on?

„O Boże, ja sama nie wiem, czy i to dziecko nie jest dzieckiem wstydu, które ten podły, nikczemny — —"

W tej chwili usłyszała poza sobą szelest. — Kotara zaszeleściała, szybko spuściła Lola welon na twarz, by jej jubiler nie ujrzał.

„Cóż, mój panie", pytała z odwróconą twarzą, „badał pan kamienie? Nieprawdaż, że mi pan może dać za to więcej, jak czterdzieści tysięcy franków? Ja potrzebuję przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy! Miej pan litość nade mną i postaraj się o tę sumę najpóźniej do jutra wieczór."

„Będziesz ją miała, Lolu", ozwał się ponury głos za nią, „a jeżeli to dla twego szczęścia potrzebne, — nawet i miljony!"

Z krzykiem odwróciła się Lola, — był to krzyk rozpaczy, krzyk sarny gonionej, gdy widzi, że ścigającym ją strzelcom ujść nie zdoła. Był to krzyk szalonej trwogi śmiertelnej.

„Ani słowa więcej, nieszczęsna", rzekł hrabia Zygmunt, bo on to wszedł zamiast jubilera do sklepu. — „Nie tu, — w obecności trzeciej osoby, — tej tam za kotarą, — będziesz odpowiadała na moje pytania, ale w cztery oczy. Podaj mi ramię, przedewszystkiem jak najprędzej stąd wyjść musimy!"

Ale przerażenie, jakie owładnęło Lolą na widok ojca, pozbawiło ją reszty sił. Obydwoma rękami chwyciła się poręczy krzesła, które w pierwszej chwili przyciągnęła była do siebie, jakby z mimowolnej obawy, by się hrabia na nią nie rzucił. Czuła, że mdleje.

„Nie mogę", rzekła bezdźwięcznym głosem, „zostaw mię! — Niech umrę, — nie dotykaj się mnie, — idź i zostaw mnie swemu losowi!"

„Nieszczęsna córko", rzekł hrabia Zygmunt głosem, który brzmiał Loli jak zgrzyt żelaza, „coś uczyniła, — jakiego wstydu nabawiłaś nas wszystkich! — Ta zagadka, niepojęta zagadka dla mnie! — A rozwiązać ją będziesz mi musiała sama. Ale, jeżeli w tej chwili nie opuścisz sklepu, zejdziesz się z Kazimierzem, który lada chwila tu nadejdzie. — Nie mówiłem? — otóż i on, — tam na rogu ulicy, — bieży, co może! Prędzej stąd, prędzej, — nieszczęsne dziecię, — niech cię Kazimierz tu nie zastanie, — inaczej wszystko stracone!"

Hrabia Zygmunt objął Lolę, która sama ani krokiem naprzód postąpić nie była w stanie, podniósł ją i wywlókł za kotarę, — czas był najwyższy, — bo w tej chwili otwarły się drzwi i Kazimierz wszedł do sklepu.

„Gdzie jesteś, ojcze?" zawołał młody Kazimierz, „niosę ci proszki, których sobie życzyłeś. Mój panie, gdzie jest mój teść, hrabia Sokolski?"

Przed kotarą ukazał się jubiler. Spokojny, pełen zimnej krwi postąpił ku Kazimierzowi:

„Panie hrabio, teść pański wyszedł stąd przed pięciu minutami. Kazał przeprosić, że dłużej nie czekał, ale czuł się zanadto niedysponowany. Sądzę, że pojechał do domu."

„Dziękuję panu", rzekł Kazimierz, „udam się bezzwłocznie do jego pałacu. Inną razą zgłoszę się do pana, by poczynić zakupno. — Wprawdzie moja żona posiada kosztowne brylanty, nie mniej jednak znajdzie się u pana na składzie coś, co jej sprawi radość."

To rzekłszy wybiegł ze sklepu.

Jubiler wyprowadził go wzrokiem za drzwi.

„Biedny, oszukiwany człowieku", pomyślał, „wnet ci się oczy otworzą!"

XCI.

**Nowe kłamstwo — nowe oszustwo**

Hrabia Zygmunt opuścił z Lolą sklep tylnemi drzwiami, które prowadziły na podwórze, a stąd przez podwórze wydostał się na ulicę. Jak tylko mógł najspieszniej, skręcił z córką w boczną ulicę.

Tu skinął na fiakra i kazał się wieźć do pałacu Zamskich na polach Elizejskich.

W czasie jazdy ojciec i córka nie zamienili ani jednego słowa między sobą. Lola spoczywała bezwładnie w kącie powozu, a hrabia Zygmunt nie wszczynał rozmowy. Chciał widocznie, by przyszła najpierw do siebie, by ochłonęła z przerażenia; musiał wyobrażać sobie, co za cios musiał być dla niej, to niespodziane odkrycie. Tem więcej jednak pogrążał się sam w chaosie myśli, — ostatnie pół godziny otworzyło przed nim przepaść. — I pytał sam siebie: czy Lola w nią upadła?

Dreszcze przechodziły go od stóp do głowy, gdy wspomniał, co jubiler o kobietach mówił: sprzedają klejnoty, gdy dla kochanka potrzebują pieniędzy, — składają wszystko, co im najdroższe na ołtarzu namiętności.

„Ale nie, — to niemożebne!" odzywał się drugi głos w jego piersi, „Lola nie zrobiłaby tego! Córka jego nie mogła upaść tak nisko! Wszak niedawno dopiero słyszał z jej własnych ust, że się matką czuje. A jakim blaskiem radości świeciły jej oczy, gdy tę nowinę zwiastowała! — Czyż nie zauważył sam, jak w ostatnich zwłaszcza czasach stosunek jej do Kazimierza stał się o ile możności jeszcze serdeczniejszym, — nie mówiąc już o tem, że z miłości tylko poszła za niego? — Czyż można było wogóle przypuścić, by ona, — jego córka, — kość z kości i krew z krwi jego, — latorośl dumnego rodu Sokolskich tak nisko upaść mogła, by się rzucać w objęcia kochanka?"

Podejrzenia te wszystkie, które siłą wypadków spowodowane, cisnęły mu się do głowy, odrzucał hrabia Zygmunt. Jeszcze chciał wierzyć i wierzył w niewinność Loli, — i cała ta sprawa, w tej chwili zagmatwana, sądził, że przecież się na lepsze obróci.

A jednak, — gdy znowu pomyślał, jak bardzo zależało Loli na sprzedaniu klejnotów, gdy rozważył, że raz po razu zachodziła do jubilera po pieniądze, — Boże Święty, cóż za cel mógł by to być, dla którego tak znacznych sum potrzebowała? Czemu nie zwróciła się do niego, do swego ojca o pieniądze, — jeżeli nic złego w tem nie było. Musiała przecież wiedzieć, że on dotychczas żadnemu jej życzeniu, żadnej prośbie nie odmówił.



*W tych dniach w Bukareszcie obradował zjazd cyganów rumuńskich, który zgromadził około 100.000 cyganów. W czasie uroczystości archimandryta grecko-katolicki wręczył cyganom sztandar, poczem uczestnicy zjazdu przemaszerowali w pochodzie ulicami Bukaresztu z nowym sztandarem na czele.*

Wszędzie naokół niego, same tylko zagadki, które nie sposób rozwiązać. Powóz stanął przed pałacem. Hrabia doznał uczucia przestrachu i trwogi, przed tem, co miało nastąpić, — za kilka minut dowie się zapewne prawdy. A jaką będzie ona? Pot wystąpił mu na czoło.

„Jesteśmy w domu, Lolu!“ rzekł hrabia, wysiadając.

Jak automat podniosła się Lola z siedzenia. Wsparta na ramieniu ojca, chwiejnym krokiem krocząc po schodach, dała się mu zaprowadzić do sypialni.

Celestynie, która podbiegła, by swojej pani być pomocną przy zdejmowaniu kapelusza, wbrew zwyczajowi swemu, hrabia rozkazał ostro opuścić pokój. Drzwi zamknął na klucz i zwrócił się do córki:

„Przedewszystkiem, zdejm płaszczyk i kapelusz, — czy mam ci pomóc?“

Lola, która zaraz po wejściu do sypialni usunęła się na fotel, siedziała nieruchomo. Dopiero gdy Zygmunt powtórzył zapytanie, podniosła welon. Hrabia przestraszył się bladości i zmiany, jaka zaszła w rysach jej twarzy.

Gdy chciał jej pomóc zdjąć płaszcz, — odsunęła go od siebie:

„Nie, zostaw mię, — nie dotykaj się mnie, — ja sama potrafię!“

Zrzuciła płaszcz jedwabny na ziemię, — nie zadała sobie trudu podnieść go, — przeszła po nim do pieca. Przysiadła koło niego, jakby się ogrzać chcia ku i żałości.

Hrabia Zygmunt przeszedł się z rękami na plecach złożonemi kilka razy po pokoju. Spojrzenia, które rzucał na Lolę, nie były gniewne, tylko pełne smutku i latości.

„Lolu“, przemówił rzewnym głosem, „powiedz sama, nie byłem dla ciebie od chwili, kiedy cię los w moje sprowadził ramiona, zawsze dobrym ojcem? Nie starałem się spełnić każdego życzenia, jakiem tylko z oczu twoich wyczytał?“

Piękna kobieta milczała, wzrok upuściwszy ku ziemi.

„Ja sądzę“, ciągnął hrabia dalej, „że byłem ci raczej przyjacielem, jak ojcem. Zdawało mi się, że w ten sposób zdobędę sobie to, co w oczach dobrego ojca posiada największą wartość, — mianowicie zaufanie swego dziecka. — Odpowiadaj, Lolu, — twoje milczenie napełnia mię jeszcze większą trwogą. — Mów, — co masz na usprawiedliwienie swojego postępowania? Nie chcę nawet, byś się usprawiedliwiała, — powiedz mi tylko, co cię postawiło w tem rozpaczliwem położeniu, żeś się musiała pozbywać klejnotów?“

Lola upuściła jeszcze niżej głowę na piersi, — pierś jej drżała, jakby w niej łzy z głosem boleści walczyły. Ale ani jedna łza nie wydobyła się jeszcze z oczu, które ogniem żaru płonęły.

„Czy ty wiesz, coś ty zrobiła?“ mówił hrabia dalej, stając tuż przed Lolą, „maszże ty świadomość swego czynu? Mniejsza o to, że za niską cenę roztrwaniałaś klejnoty, bo one do ciebie należą od chwili, gdym ci je w dzień ślubu oddał, — ale one nie są wyłącznie twoją własnością, — one należą do skarbca familijnych klejnotów hrabiów Sokolskich. Kto je obejmuje w przechowanie lub posiadanie, przejmuje równocześnie choćby nawet niewypowiedziany wyraźnie obowiązek, — i to obowiązek honoru, czuwać nad nimi i strzec ich jak oka w głowie, bo one są symbolem i wyrazem chwały i tradycji całych pokoleń tego szlachetnego rodu, do którego należysz. — Nie złoto i nie djamenty wyłącznie stanowią ich wartość.

„Setki lat, w czasie których do naszej rodziny należą, — składają się na ich wartość, — a kto tej wartości nie rozumie i nie odczuwa, nie jest godzień tego, by je posiadał. — Moja matka nosiła je kiedyś wszystkie. Przywiązała się do nich, — kochała je, ale nie dlatego, że je nosić mogła, nie dlatego, że blaskiem djamentów cieszyć się mogła — o nie! ona widziała w nich tradycję rodu. Posiadanie ich napa[...]ło ją dumą, — bo jej matka znowu, bo jej cały szereg przodków po kądzieli nosił je. A każdy czasowy właściciel miał na oku, by je tak, jak je po przodkach swoich odziedziczył, przedać na następców swoich. W czasie wojny zakopywano je przed nieprzyjacielem, — w czasie pokoju przechowywano nadal ze czcią i szacunkiem, — bo do każdego z tych klejnotów przywiązane jest święte wspomnienie. Dlatego i moja matka, wierna tradycji, czuwała nad nimi.

„A ty, Lolu, — ja ciebie nie rozumiem! Nieszczęsne dziecko, — familijne pamiątki rodowe zanosisz do handlarza!

„Ale na tem nie koniec. Zawiniłaś jeszcze bardziej. Miałaś zamiar, dać prawdziwe perły na fałszywe wymienić. Na miejsce czystych, bez skazy, wydobytych z głębin morza, świecidełka, dobre chyba dla dziewki stajennej. —

Wiesz ty, co to znaczy? To znaczy: w miejsce prawdy umieszczać fałsz, na miejsce uczciwości oszustwo, na miejsce cnotliwej, zacnej kobiety — ulicznicę“.

„Ojcze“, ozwała się drżącym głosem Lola, „coś ty wyrzekł! „Ulicznica“? do kogo ma się to odnosić?“

„Nie do ciebie“, zachrypłym głosem ciągnął dalej hrabia Zygmunt. „Nie, nie do ciebie, — myśl ta jest mi obcą, przynajmniej teraz jeszcze! Miałażbyś zapomnieć się do tego stopnia, — miałożby to być prawdą, co mi ów handlarz szepłał do ucha, — miałażby naprawdę sprzedać uczciwe nazwisko, błotem je skalać by — — — nie, nie, — ja nie mam słów na to. Wstyd mi, wypowiadać takie podejrzenie. Lolu, dziecko moje, powiedz, — powiedz mi otwarcie, maszże naprawdę kochanka, dla którego chciałaś dostać za każdą cenę pieniędzy?“

Głos hrabiego zniżył się do szeptu — im cichszy jednak się stawał, tem strasz niejszym wydał się Loli.

Bezradnie spoglądała na niego Lola. Biała jak trup stała teraz przed nim. Nie drżała, — bez ruchu najmniejszego robiła wrażenie zaklętej w marmur postaci.

Utkwiła wzrok w hrabiego, jakby chciała najtajniejsze wygrzebać z niego myśli! Czy on wie wszystko? Wie, że Robber — —

Ale zaraz następnie jego słowa uspokoiły ją i wróciły jej pewność siebie i przytomność umysłu.

„Przysięgam ci, że to, com przedtem był w zapomnieniu wypowiedział, nie do ciebie się odnosi. Jakżebym mógł to uczynić? Wiem przecież, — tyś dzieckiem mojem, moją córką jedyną. To niemożliwe, byś mogła zboczyć z drogi cnoty i uczciwości.

„Gdyby zaś to prawdą być miało, nieszczęsne dziecko, wtedy ja sam, ojciec twój, — musiałbym cię opuścić i oddać cię w ręce sędziemu, w któregoby się twój mąż wobec ciebie zamienił.

„I nie on sam jeden, — nie, każda uczciwa kobieta, — każdy uczciwy mężczyzna ma prawo sądzić tę, która dla zaspokojenia swych namiętności drugiemu się oddaje. — Lecz, Lolu, by raz już te ponure myśli pierzchły, — powiedz mi: co cię spowodowało do tej frymarki. Co było powodem, żeś sprzedała djamenty? — Jeżeli potrzebowałaś pieniędzy, — nawet daleko więcej, jak to, co ci jubiler dawał, jeżeli w tem nic nie było złego, — nie mogłaś przyjść do mnie? —

„Wiesz przecie, żem bogaty! Dla kogo mam pieniądze, — jak nie dla ciebie i dla twojego męża! Chcesz miljon, — dam ci zaraz i miljon, — ale prawdę chcę słyszeć, — prawda i otwartość to warunek harmonji między ojcem a córką, — to są filary wspaniałej budowy, którą miłość buduje“.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

## CHWILA ZASTANOWIENIA

### ŁAMIGŁÓWKA TRZYLITEROWA

ul. Irena Wiechujówna

Przez *b* — z historji dobrze znasz,
„ *m* — napewno nie jest wasz,
„ *r* — bartnicy szukają,
„ *t* — rzeźnicy sprzedają.

### SZARADA

ul. Irena Wiechujówna

*Drugie* — *trzecie* dobrze znasz,
Gdy śpiewasz lub grasz.
*Pierwsze* — *trzecie* dzień oznacza,
*Wszystko* — imię żeńskie znaczy.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 15 listopada br.

Rozwiązanie zadań z nr. 43 „Moich Powieści“: Konikówka: *„Bóg wypożycza człowiekowi życie, ale go nie daje na własność.* Szarada: *Kopernik.*

Trafne rozwiązanie nadesłali pp.: Marja Chłostówna — Chełmno, Zofja Jamrożówna — Tereszewo, Józef Kubielas — Lachowice, Leon Wilczer — Tczew, Kazimierz Walczak — Tczew, Hennig Paweł — Grudziądz, Fr. Balaszczuk — Golina, Rogala Marcin — Orlik, Jerzy Harder — Wejherowo, Ludwik Dulat — Zbąszyń, Leokadja Krarczyk — Małe Pałkowo, Zofja Świtalska — Żnin, K. Mikstacki — Lipiny, Teresa Karolczakowa — Wława, Aleksander Weide — Ląd, Halina Spychalska — Papros, Maryla Spychalska — Papros, Leon Świtalski — Żnin, Marjan Białyś — Grodzisk (Wlkp.), Janina Sołtysiakówna — Lubliniec, Bogdan Siemianowski — Tczew, Artur Widziński — Tczew, Zofja Stefańska — Warlubie.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Janinie Sołtysiakównie — Lubliniec, G. Śląsk i Józefowi Kubielasowi — Lachowice k/Żywca (Małopolska).

# H-U-M-O-R



— Nareszcie! Wynalazłam sposób noszenia parasolki tak, aby nie tamowała ruchu ulicznego!!!

*„Ciężka" kara*

Rekrut Wywerka jest najgłupszym żołnierzem w całej kompanji. Szef nie może sobie dać z nim rady. Wreszcie pewnego dnia zdenerwowany woła:

— Kapral!... Zamknąć tę oferme na trzy dni do paki i dawać mu codziennie mięso z rosołem za karę, bo to jarosz!

*Wierność rekruta*

— Główną cnotą żołnierza jest wierność — poucza porucznik rekrutów. — Powiedzcie mi Pietrzak, kiedy żołnierz jest wierny?

— Jak nie chodzi z innemi dziewczynkami, panie poruczniku!

*Mądry szef*

— Panie Szczypawka — woła szef do urzędnika — pan śpi podczas godzin urzędowania?

— Bardzo pana przepraszam — tłumaczy się skonfudowany pracownik — żona moja powiła dziecko, które tak się bezustannie wydziera, że nawet na chwilę nie można oka zmrużyć.

— W takim razie — odpowiada szef — niech pan przychodzi do biura z dzieckiem.

*W księgarni*

— Panie — reklamuje klient — wczoraj kupiłem książkę p. tyt. „Jak samemu zbudować aparat radjowy?" i wcale się z tej książki nie mogłem połapać. Wogóle sam nawet autor nie ma pojęcia o radjo.

— To też on się sam pyta w tytule książki o to, jak samemu zbudować aparat.

*Wygoda*

Kelner: — Panie szanowny, złodziej ukradł panu palto.

Gość: — Nic szkodzi. Znajdę je napewno. Wszystkie lombardy znają już moje palto.

*— Postępowanie upadłościowe.*

* *

W Polsce najwięcej dziś kamieniczników, bowiem wszystkim nam idzie jak z *kamienia*.

* *

Nauczyciel: — Ja ci tłumaczę — jaki jest to czas?

— Tatuś zawsze mówi, że to czas *stracony*.

* *

Szczyt lekkomyślności — zapalić w piecu ostatnią deskę ratunku.

* *

Szczyt naiwności — gdy panna szuka w książce kucharskiej przepisu na *pieczenie raka*.

*Szczęśliwy*

— Jak słyszę, ożeniłeś się.

— Tak, z wdową.

— A jesteś szczęśliwy?

— Całkowicie. Nawet ubrania pierwszego męża mojej żony leżą mi doskonale.

*Nie zrozumiał*

— Pański brat podobno stracił w wojnie język.

— Trzy języki, on mówił także po włosku i po francusku.

*On i ona*

— Dlaczego twoja żona ubiera się tak elegancko, a ty jesteś tak zaniedbany?

— Bo ona ubiera się według księgi mód, a ja według księgi bankowej.

*Mała niejasność*

— Tak, tak, wiem, że ten hrabia ma miljon.

— Ale czy majątku, czy długu, niewiadomo.

*To książki winne*

— Wiesz, przejrzałem wczoraj książkę kasową i omal się nie wściekłem. Wyobraź sobie tylko, samochód nasz pochłonął za pół roku 2000 zł.

— A widzisz, nie mówiłem ci, żebyś nie zakładał tych denerwujących ksiąg kasowych?

*Trzeźwa odpowiedź*

Antoś nie chce się uczyć. Ojciec stara się przemówić mu do rozumu.

— Powiedz sam, Stasiu — zwraca się doń — czy człowiekowi jest dobrze w życiu bez nauki?...

Malec zastanawia się przez chwilę i odpowiada:

— Oczywiście, że źle jest, gdy człowiek nie posiada wiedzy, gorzej jest jednak, gdy nie ma protekcji, a najgorzej — gdy brak mu forsy...

*Szczyt dziwactwa*

Przechodząc wczoraj za miastem obok rzeki, zwróciłem uwagę na dziwnego jegomościa. Stał na brzegu, trzymając w jednej ręce młot, gotowy do uderzenia, w drugiej budzik i wpatrywał się uważnie w mętne fale.

— Panie, co pan tu robi?... — zwracam się doń.

— Ano nic... — odpowiada tamten. — Widzi pan... Łowię ryby...

— Z młotem i budzikiem?... Co pan wygaduje za głupstwa!... Jak pan to robi?

— Poprostu... Gdy budzik zaczyna dzwonić, ryba wysuwa głowę, żeby zobaczyć która godzina, wtedy ja ją młotem w głowę bęc!!! — i gotowe...

*W kawiarni*

Do kawiarni wchodzi gość. Jest godzina druga, Podchodzi kelner:

— Czem mogę służyć?...

— Narazie daj pan gazetę...

Kelner wzrusza ramionami i podaje gościowi gazetę. Mija godzina. Gość ciągle czyta gazetę. Kelner podchodzi po raz drugi:

— Czy pan szanowny coś zamawia?...

— Narazie nic... — brzmi krótka odpowiedź.

Kelner kiwa głową i odchodzi. Ale w godzinę później zdenerwował się, podchodzi do owego gościa i pyta:

— Przepraszam pana, czy pan coś w końcu zamówi, czy pan zamierza tu zaczekać na lepsze czasy?

*Różne metody*

— Gdy u nas froteruje się posadzki, żona wysyła mnie do restauracji!

— Och, ty szczęśliwcze! Moja każe mi poprostu siedzieć wtedy na szafie!

*Nie głupi.*



— Przecież wyglądacie na zupełnie zdolnego do pracy.

— Być może; ale nie jestem znów taki głupi jak wyglądam.





PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8 Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin